EPOKA

ROK V. Warszawa, 25 marca 1938 r. Nr 9 (112)

Treść numeru:

»Duchowe rozbrajanie Polski«

W burzliwej epoce wielkiej przebudowy świata, który z gruntu dziś odmienia swe podstawy bytu, zadania Polski wiążą się jak najściślej z koniecznością wyzwolenia sił żywotnych kraju. Ale, żeby to wyzwolenie było istotne i niezawodne, odbywać się ono musi w zgodzie i w duchu dążeń rozwojowych olbrzymiej większości narodu — większości, stanowiącej główną siłę moralną i materialną państwa. Doświadczenie Polski odrodzonej dostarczyło już aż nadto dowodów na poparcie tych prawd żywotnych, wciąż lekceważonych lub zwalczanych przez żywioły jawnej lub zamaskowanej reakcji. Jest rzeczą naturalną, że masyw rzesz pracujących, mający poczucie swojej wartości społecznej i znaczenia opoki dla Rzeczypospolitej stanowi istotne podłoże dla idei demokracji, wyrosłych z gruntu polskiego i wypróbowanych w doświadczeniach wiekowych walk o wolność i niepodległość.

Cóż tym ideom przeciwstawiają obozy reakcji politycznej? Czy legitymują się takim rodowodem historycznym, któryby w dzisiejszym okresie wstrząsów i prób budził zaufanie ogółu i pozwalał wierzyć, że warstwy te są przewodnikami idei, sprawdzonych w biegu stulecia i w ogniu doświadczeń, a są sprzęgnięte nierozerwalnie z żywotnymi potrzebami narodu pod znakiem racji stanu odrodzonej Rzeczypospolitej?

Przeciwnie! Widzimy od paru lat, że z poręki skrajnej reakcji coraz zuchwalej hulają po obszarach życia polskiego obce idee, będące nie tylko zaprzeczeniem tradycji i ducha naszych dziejów, ale i groźbą moralnych podbojów na rzecz obcych państw i systemów totalistycznych. Przenikanie tych idei podziemnymi kanałami reakcji urosło już nie tylko do groźby podbojów moralnych, ale coraz widoczniej zagrażać ono zaczyna urządzeniom naszego życia społecznego i politycznego.

To nałogowe i ślepe naśladownictwo cudzych idei, zaszczepianych przez reakcję na pniu polskim, nie zadowala jednakże i nie wypełnia pustki wśród chwiejnych i zdezorientowanych grup społecznych, nie objętych ani przez demokrację ani przez obóz „narodowy". Stamtąd najgłośniej rozlegają się wołania o jakąś ideę, mającą wzniecić zapał w społe-

czeństwie. Rozlegają się żądania hasła, któreby swą mocą zapaliło i porwało masy. Odbywają się gorączkowe poszukiwania mitu, któryby spełnił rolę ogniska koncentracyjnego dla zbłąkanych tłumów. Echo tych wołań o idee odbiło się o trybunę sejmową i znalazło wyraz w przemówieniu min. Świętosławskiego, który uznał tę rzecz za głębokie nieporozumienie. „Idea taka — mówił minister oświaty — bezsprzecznie istnieje i narysowana jest wyraźnymi barwami w naszych umysłach i sercach. Wszak ideę podstawową, domagającą się od nas jak najbardziej wytężonej pracy jest potrzeba doprowadzenia Polski do wysokiego poziomu kultury duchowej i materialnej, doprowadzenia do rozkwitu wszystkich sił twórczych i zabezpieczenia bytu Polski przez podniesienie jej siły obronnej do najwyższej potęgi. Niechże to będzie naszym hasłem przewodnim!... Jeżeli dotychczas nie zdołaliśmy wywołać w szerokich masach szczerego i prawdziwego entuzjazmu dla wspólnego wysiłku, zmierzającego ku najprędszemu, wszechstronnemu rozwojowi Polski, to winę za to ponosimy wyłącznie my sami". „Jest troska — mówił dalej minister — która nas niepokoi. Niepokoją nas mianowicie różnego rodzaju ekscesy i wybryki, które inaczej jak **duchowym rozbrajaniem Polski** nazwać nie można".

Jeżeli chodzi o demokrację, to jest ona w tym szczęśliwym położeniu, że nie ma potrzeby zapożyczać się ideowo u obcych i ma najpełniejsze zrozumienie wagi i znaczenia „wysiłku, zmierzającego ku najprędszemu, wszechstronnemu rozwojowi Polski", o czym świadczy wyraźna postawa wszystkich jej odłamów i co znajduje swój wymowny wyraz we wszystkich uchwałach kongresów P. P. S., Stronnictwa Ludowego, Unii Pracowników Umysłowych, Związków Zawodowych i Klubów Demokratycznych. Dzisiejsza demokracja polska, mająca za sobą tradycję jedną z najbogatszych w Europie, czuje się spadkobierczynią nie tylko wspaniałego dorobku i zasług swoich wielkich poprzedników, ale także spadkobierczynią zahartowanego w bojach oręża, który wywalczył niepodległość. Demokracja, niepogodzona z niewolą, walczyła o niepodległość, co oznacza także pragnienie, aby Polska kroczyła naprzód. Demokracja więc nie poszukuje mitów lub idei zapalających, sama bowiem wyrosła z nurtu ideowego i rozporządza niewyczerpaną skarbnicą doświadczeń na własnym gruncie.

Nie głowienie się więc nad jakimiś nowymi ideami jest jej potrzebne do pochodu naprzód i do podniesienia życia polskiego na poziom wysoki, lecz warunki polityczne, które umożliwiłyby wyzwolenie jej twórczych i produkcyjnych sił. Tłumienie tych sił rozwojowych rozzuchwala żywioły, czerpiące natchnienie u obcych źródeł, hołdujące obcym ideom i obcym wzorom, tym właśnie, które wywołują troski w duszy pana ministra Świętosławskiego i które go niepokoją.

Następstwem ich są praktyki hitlerowskie, które słusznie „inaczej nazwać nie można, jak duchowym rozbrajaniem Polski", nadomiar — rozbrajaniem przez obcych polskimi rękami.

Hasła demokracji jednoczyły wczoraj najlepsze siły do walki z niewolą i rodzimym wstecznictwem, które pogodziło się z najazdem, — jednoczą i dziś najlepsze siły przeciwko reakcji, hołdującej ideom obcego totalizmu. Obecnie chodzi już tylko o to, ażeby nieprzejednana postawa demokracji wobec duchowego rozbrajania Polski, tak autorytatywnie stwierdzonego z wysokości trybuny senackiej — osiągnęła jak najprędzej warunki dla swego pełnego i swobodnego działania.

Zachód mówi

Nasz P.A.T. informował nas, co prawda niezwykle szczegółowo o każdej mowie rozentuzjazmowanych prowincjonalnych wielkości nazistowskich w Austrii, ale z dziwną dyskrecją potraktował głosy prasy zachodniej (z wyjątkiem jedynie włoskiej) o wypadkach austriackich. Chcąc bodaj częściowo wyrównać lukę, stąd powstałą w informowaniu naszej opinii, zestawiamy garść najcharakterystyczniejszych głosów. Czytelnicy zechcą zwrócić uwagę, że cytujemy wyłącznie pisma o kierunku prawicowym lub, co najwyżej, centrowym. Głosy prasy lewicowej są, rzecz jasna, o wiele dosadniejsze i ostrzejsze.

LONDYN

„Po raz pierwszy od czasu wielkiej wojny, jakiś kraj w Europie został zdławiony siłą i zalany armiami innego kraju. Przeszliśmy Rubikon nowego typu. Odtąd Niemcy są napiętnowane jako kraj, który nie tylko wierzy, na podstawie swej ideologii, w siłę zbrojną, ale jest zdecydowany stosować swe zasady w praktyce w granicach Europy. Wielu było w tym kraju, którzy wierzyli, że Niemcy, mimo wszystko, pragną zachowania pokoju w Europie. Ultimatum złożone Austrii i przekroczenie granicy austriackiej przez wojska niemieckie, to ostateczne zrzucenie maski. Obietnice i zaklęcia o nieuciekaniu się do siły i poszanowaniu niepodległości innych narodów odtąd są bezwartościowe. Udział Włoch w tej sprawie jest nie wiele mniej poważny niż Niemiec, a odpowiedzialność ich nawet większa...

Warunki zmusiły Hitlera do podniesienia zasłony i pokazania światu, jaki będzie jego wybór pomiędzy użyciem zbrojnej siły a porażką dyplomatyczną. Długo zastanawiały się nad tym Ministerstwa Spraw Zagranicznych Europy. Teraz mamy odpowiedź. Jest to ważny przyczynek na przyszłość.

Odtąd nikt nie będzie mógł sam się oszukiwać wiarą, że jakiekolwiek skrupuły albo względy na moralność międzynarodową staną kiedykolwiek na przeszkodzie Niemcom".

„Financial News", dn. 14 marca (organ City).

„Ta ostatnia i najgorsza demonstracja metod zagranicznej polityki niemieckiej może tylko pogłębić oburzenie i nieufność, wywołaną w Anglii sposobami, przy pomocy których osiągnięto porozumienie w Berchtesgaden. Zadaje ona cios polityce porozumienia i czyni wątpliwym, czy uspokojenie jest możliwym na kontynencie, narażonym na demonstracje samowładczej siły".

„Times" (Konserwatywny i germanofilski artykuł wstępny z dnia 12 marca).

„Nasze ideały i nasza cywilizacja są zagrożone na tym kontynencie, który był kolebką tej cywilizacji. Spojrzyjmy w nasze serca! Jeśli wolimy, nie pokój za cenę rezygnacji z życia, godnego życia, ale *wolność nawet za cenę pokoju*, wtedy musimy sami przystąpić do akcji. Musimy, przede wszystkim, zrobić to, czego żąda Mr. Churchill. Musimy znowu potwierdzić wobec całego świata, naszą wierność dla zasad Ligi Narodów. Musimy zgromadzić dokoła Wielkiej Brytanii

i Francji pewną liczbę państw w uroczystym traktacie wzajemnej pomocy przeciwko agresji. Musimy połączyć nasze siły jednym wielkim sojuszem. I musimy wypisać nasze pierwsze „nie". *„Economist"* (liberalny)

PARYŻ

„P. von Papen mówił niedawno, że Niemcy chcą stworzyć w Europie „Commonwealth" (Imperium) narodów, zgrupowanych dokoła siebie. Dla Rzeszy obsadzenie Austrii jest tylko początkiem. Za tym początkiem pójdą dalsze kroki, jeżeli nie zrobi się nic, aby zmienić stan rzeczy, który Niemcom pozwala na wszystko".

Pierre Bernus w *„Journal des Debats"*, dn. 12 marca

„Nie chcąc być okrutnym, trzeba przecież przypomnieć stare przysłowie francuskie: „Strach jest początkiem rozumu". Miejmy nadzieję, że ludy i rządy, które dotąd widziały w przesunięciach politycznych w Europie tylko swój własny ciasny, egoistyczny interes, zastanowią się nad niebezpieczeństwem, jakim grozi zachowywanie swych złudzeń za wszelką cenę; kiedy potężne mocarstwo jest zdecydowane realizować swe ambicje depcząc systematycznie wszystkie pojęcia prawa międzynarodowego, nie można „odgraniczyć się od niebezpieczeństwa ustępstwami, uprzejmostkami i „świstkami papieru".

„Agence Economique et Financière" (grupa Flandin — Reynaud).

NOWY JORK

„Oto państwa totalistyczne w akcji. Reszta świata widzi teraz, wobec kogo się znajduje, co to są dyktatury...

Wojska niemieckie zajęły obcy kraj. Mniejsza o to, że decyzję powzięto na podstawie żądania „nowej kukły Führera we Wiedniu. Niema granic dalszego stosowania tego precedensu. Nie trzeba zbyt wiele wyobraźni, aby ujrzeć p. Henleina w roli szefa jakiegoś rządu prowizorycznego w Czechosłowacji, wzywającego Führera, by przysłał mu żołnierzy dla przywrócenia porządku i uniknięcia rozlewu krwi w tym kraju".

„New York Herald Tribune" (konserwatywne skrzydło republikanów).

Prezydent Roosevelt przyjął delegację Kongresu Młodzieży Amerykańskiej, która złożyła mu m. in. protest przeciw „militaryzmowi amerykańskiemu". Prezydent odpowiedział, wskazując na nagłówki gazet: „Niemcy zajmują Austrię": „Są w Europie narody, które nie przestrzegają traktatów".

„Times", dn. 14 marca.

„Jeżeli narody, które pragną pokoju, zastosują taktykę wzajemnego izolowania się od siebie, to w ten sposób tylko zachęcą, niemal zaproszą inne narody do prowadzenia polityki bezprawia i podejmowania akcji, jaknajbardziej niebezpiecznych dla pokoju".

Cordell Hull, sekretarz stanu dla spraw zagranicznych Stanów Zjednoczonych.

HAGA

„Okazało się znowu, że najbardziej elementarne pojęcia kierowników Rzeszy oddalają się w sposób groźny od poglądów ogólnie przyjętych. Znowu i wyraźnie, zostały stworzone czynniki niepokoju, tarć i napięcia, które w pewnej chwili będą musiały w sposób nieuniknony doprowadzić do wojny, bo nie można przypuszczać, że świat będzie mógł stale znosić wyzwania i ciosy, zadawane przez ideologię dynamizmu, który nie wie gdzie się zatrzymać i który zastępuje traktat wersalski dyktaturą Berlina". *„Maasbode"* (katolicki).

GENEWA

„Los Austrii nie może być dla nas obojętny. Nadużycie siły w stosunkach międzynarodowych jest rzeczą haniebną; zagraża ono wszystkim małym państwom, które nie mogą mu przeciwstawić nic prócz protestów prawnych... Pokój jest zagrożony od chwili, kiedy wielkie mocarstwo używa groźby przemocy dla narzucenia rozwiązań zgodnych z jego interesami". *„Journal de Genève"* (prawica).

I... BERLIN

„Mamy łącznie związek narodowy (ein zusammenhängendes Volkstum) obejmujący 84 miliony ludzi, ***jeśli do 75 milionów zjednoczonych obecnie dodamy 6 milionów mniejszości, które rozłożyły się pasem dokoła granic Rzeszy i 3 miliony ludności krwi niemieckiej Szwajcarii, Luksemburgu i Lichtensteinu"***.

„Der Arbeitsmann" (organ hitlerowskiego „Frontu Pracy).

Z DNIA NA DZIEŃ

REFEROWAŁ POSEŁ SIODA...

„Powiedz mi, kto referuje ustawę a powiem ci, jaka jest jej treść" — przysłowie takie, gdyby istniało, dałoby się świetnie zastosować do działalności ustawodawczej naszych ciał parlamentarnych.

Bo przecież nie jest chyba dziełem ślepego przypadku, że właśnie p. Sioda, adwokat (!) posłujący z pięknego i kulturalnego miasta Bydgoszczy, referował na plenum Sejmu antyadwokacki projekt nowego ustroju palestry. P. Sioda wysunął na czoło wielkiej kampanii, zmierzającej do „unowocześnienia" naszego przestarzałego prawodawstwa, do zreformowania go w duchu odrodzeniowych prądów, których tak wybitnym przedstawicielem na bliskim Zachodzie jest Reichsminister dr Franck.

Nie chcemy tu zasług pana Siody przeceniać. Czytelnicy wiedzą z prasy codziennej, że autorem projektu nowego prawa o ustroju adwokatury był nie skromny adwokat i poseł miasta Bydgoszczy, lecz Ministerstwo Sprawiedliwości. To prawda, ale pan Sioda wziął na siebie ciężki i bardzo niewdzięczny obowiązek obrony projektu przed Sejmem i przed opinią całego społeczeństwa! Odważny referent musiał odpierać zarzuty swych „zacofanych" kolegów — pięciu znanych i wybitnych adwokatów, wychowanych na starych, „anachronicznych" wzorach przedwojennego „demoliberalizmu", trzymających się z „maniackim uporem" zasady niezależności i wolności adwokatury!

Trudne tedy było zadanie pana Siody. I trzeba bezstronnie powiedzieć, że wywiązał się z swej misji doskonale. Za projektem ministerstwa przemawia — zdaniem referenta — jedna decydująca okoliczność: reakcyjny Związek Adwokatów Polskich, do którego i p. Sioda należy, nie uzyskał w Warszawie, Krakowie i Lwowie ani jednego mandatu do władz samorządu adwokackiego, trzeba więc przyjąć projekt M-stwa Sprawiedliwości, żeby tę niesprawiedliwość naprawić. To był najwalniejszy argument, który p. Sioda wytoczył na rzecz ministerialnego projektu. I przygniatająca większość Sejmu argument ten uznała za wystarczający.

Zwłaszcza, że — polemizując z oponentami — p. Sioda i jego towarzysz broni, poseł, adwokat (!) Olszewski, powołali się na zarządzenia kanclerza Hitlera w sprawie adwokatury. To już ostatecznie przekonało naszą większość sejmową.

„Przełomowe" (w wiadomym sensie tego terminu) znaczenie nowego prawa, jego postanowień znoszących całkowicie wolność i niezależność adwokatury — znane są z prasy codziennej. W dyskusji sejmowej obrońcy niezależnego wymiaru sprawiedliwości zwrócili m. in. uwagę na pomysłowy przepis stanowiący, że adwokat „ma dać rękojmię zachowania godności stanu adwokackiego" i podnieśli, że przepis ten „daje praktycznie decyzję o losach adwokatów w ręce władz bezpieczeństwa, które będą mogły wystawiać świadectwa moralności" — bo jakże inaczej da się z góry przewidzieć, czy adwokat zachowa godność stanu? Ale jest jeszcze inny bardzo chytry przepis w nowym prawie: jeżeli adwokat zechce przyjąć aplikanta to rada adwokacka (o wiadomym składzie) ma stwierdzić uprzednio, czy adwokat ten daje rękojmię właściwego kierowania wykształceniem aplikantów! Nie trudno domyśleć się, jakimi kryteriami będą się przy tym kierowali rządzący w radach mianowańcy i totalistyczni kierownicy Związku Adwokatów Polskich...

Ani dla zwolenników, ani dla przeciwników nowego prawa nie ulega żadnej wątpliwości, że celem jego jest nie tylko zupełne uzależnienie adwokata od czynników administracyjnych, ale i maksymalne „ujednolicenie" palestry pod względem narodowościowym i politycznym. Bo tak chce duch czasu. Zakładając gęste sito, które nie przepuści do zawodu adwokackiego nikogo, podejrzanego o niezależność i rzeczywiste przywiązanie do godności swego stanu, ustawa z drugiej strony szeroko otwiera dostęp kandydatom z poza palestry. Bez wszelkich egzaminów będą mogli przechodzić do adwokatury sędziowie, prokuratorzy, urzędnicy Sądu Najwyższego i N.T.A. — nawet referendarze z prezydium rady ministrów i innych rządowych biur prawnych! To znaczy: zalew elementu urzędniczego — jego pojęciami o niezależności. Z dyskusji sejmowej dowiedzieliśmy się, że jeżeli w r. 1933 pośród 208 nowowpisanych aplikantów 71 pochodziło z zawodów urzędniczych, to w r. 1936 liczba tych ostatnich wynosiła już 51 na 60 ogółem!

Jednocześnie przytoczone w dyskusji dane statystyczne zadają kłam twierdzeniom totalizatorów o zalewie adwokatury przez mniejszości narodowe. W radach adwokackich Warszawy, Krakowa, nawet Lwowa element polski stanowi większość, a członkowie „narodowego" Związku Adwokatów Polskich wycofali się z rad tylko dlatego, że nie mieli w nich większości. Nowe prawo niewątpliwie tę większość zapewni...

I dlatego powiedzieliśmy, że nie przypadkowo właśnie wielbiciel chłosty, poseł Sioda a nie kto inny, referował „przełomową" ustawę. W fakcie tym widzimy bowiem pewien głębszy sens, widzimy przejaw tendencyj, scharakteryzowanych niedawno przez sen. Beczkowicza i wicemarszałka Kwaśniewskiego. Pan Sioda jest już postacią poniekąd symboliczną.

O jedność wiary i uczynków

Ogłoszono w prasie zbiorowy list episkopatu polskiego, charakteryzujący zadania I Polskiego Synodu Plenarnego. W piśmie swym księża biskupi wzywają katolików polskich do „jedności wiary i uczynków". Między postępowaniem katolika w życiu i głoszoną przez Kościół etyką miłości bliźniego nie powinna zachodzić żadna sprzeczność.

„Natomiast — piszą księża biskupi — każda sprzeczność między wiarą a życiem, każda niezgodność między zasadami moralnymi a postępowaniem, brak chrześcijańskiej uczciwości, obowiązkowości a zwłaszcza miłości w stosunkach z ludźmi, *nieszczere stosowanie nauki katolickiej do zagadnień nowoczesnych* — te i inne uchybienia ciężko obciążają nasz rachunek. Ujmą powagi i wpływów płaci Kościół za błędy swych sług i wyznawców...".

Stanowisko takie powitać należy z prawdziwym zadowoleniem. Propaganda nienawiści i brutalnej przemocy z zastraszającą masowością ogarnia pewne grupy ludności, zwłaszcza młodzieży. Nie mniej zastraszające są skutki. I trzeba powiedzieć, że ta ponura ofensywa zbrodni aż nadto często odbywa się w imię... katolicyzmu. Co gorsza, właśnie te grupy ludności, gdzie ambona znajduje stosunkowo największy posłuch — najłatwiej ulegają owej „anarchii moralnej, w której bezradnie męczy się człowiek, odkąd rozluźnił więzy etyczne", jak słusznie stwierdza list episkopatu. Ta część ludności, do której najtrudniejszy ma dostęp polityczna i kulturalna działalność stronnictw demokratycznych w mieście i na wsi, stanowi przecież główny rezerwuar rekrutacyjny dla proroków nienawiści i chwalców zbrodni. Stamtąd różne, żerujące na katolicyzmie, szturmówki barbarzyństwa czerpią kontyngenty swych szeregowców. Akcja endecji i różnych oenerowców ma największe powodzenie akurat tam, gdzie i wpływy Kościoła są największe. Nie dociera ona niemal zupełnie do szeregów robotniczych a na wsi tylko w najbardziej zacofanych okolicach może się pochlubić wątpliwej wartości „sukcesami". Wpływ duchowieństwa na młodzież jest niewątpliwie bardzo wielki. I wielka jest też odpowiedzialność jego za zdrowie moralne tej młodzieży. „Ujmą powagi i wpływów płaci Kościół za błędy swych sług...". Wiadomo powszechnie o znakomitej dyscyplinie, panującej w szeregach duchowieństwa katolickiego. Cóż wobec tego pomyśleć o działalności takiego „sługi" Kościoła, jakim jest np. ks. *prałat* Stanisław Trzeciak? Czy propaganda nienawiści, która jest specjalnością tego kapłana, nie podpada pod pojęcie błędów i uchybień, wskazanych

Cynizm pióra

Zdaje się, że ostatnie zajścia na ulicach Warszawy nie zachwyciły naszych władz administracyjnych. Świadczyłyby o tym patrole policyjne, które w zgoła niezwykłej liczbie pilnowały w ostatnich dniach ulicy Marszałkowskiej. Inaczej jest z naszą prasą reakcyjną. Ta zachłystuje się z zachwytu. Zacytujemy — dla przykładu — „Wieczór Warszawski".

Już tytuł zdradza radosne podniecenie. "Run na spekulantów. Młodzież dała nauczkę szerzycielom zamętu i paniki". Czy nie jasne, że wszystko jest w porządku, że wszystko jest tak jak być powinno? Po prostu wybuch gorącego, namiętnego patriotyzmu.

Niestety, świętoszek „Wieczorowy" nie zauważył wykazu rannych, który sam drukuje pod tym radosnym tytułem. Oto oni: „Izaak Zylberman, lat 28, kamasznik, Szmul Girszon, robotnik, Abram Goldberg, handlowiec, Szlama Wolgrad, robotnik, Mojżesz Ehrlich, trykociarz". Opuściliśmy dwa nazwiska, przy których nie podano zawodu.

Zarobki kamaszników warszawskich nie przekraczają 2 zł dziennie. Trykociarze też mniej więcej tyle. Zarobki robotnicze w ogóle w dzielnicy północnej (gdzie z robotników kwalifikowanych przeważają źle płatni krawcy) nie przekraczają 15 — 20 zł. tygodniowo.

Prawda, ile z tych królewskich dochodów mogli odłożyć i przeznaczyć na „antypaństwową spekulację" ci krezusi? Napewno wielekroć więcej, niż tatusie tych dobrze wykarmionych i dobrze ubranych młodzieńców, którzy komenderowali napastniczymi bojówkami.

w liście księży biskupów? Skoro jednak ks. Trzeciak „działa" (i zbiera pochwały od hitlerowskich prześladowców katolicyzmu) — to widocznie jego władze przełożone milcząco aprobowały tę działalność, jakżeż bardzo niezgodną z etyką katolicką!

Nie spotkaliśmy też nigdzie w oficjalnych (tym mniej w nieoficjalnych) enuncjacjach odpowiedzialnych przedstawicieli polskiej hierarchii kościelnej ani słówka potępienia tego, co się dzieje na wyższych uczelniach, na ulicach miast i na rynkach miasteczek.

Zato sfery kościelne — mimo *słownego* odgradzania się od totalizmu — nadal angażują się w politycznej kampanii wstecznictwa przeciw demokracji. Bo przecież, atakując najmocniejszą podstawę tej demokracji, ruch robotniczy i ludowy, napadając na nauczycielstwo i młodzież wiciową, szczepi się w masach truciznę faszystowską, choć może w niektórych enuncjacjach — w sposób zresztą iście pytyjski — usiłuje się z lekka „krytykować" polskich naśladowców hitleryzmu.

Nie można skutecznie przeciwstawiać się barbarzyństwu, nie można zapewnić etyce katolickiej zwycięstwa w życiu codziennym przez samo odmienianie tej etyki we wszystkich przypadkach, jeżeli się jednocześnie nie powie wyraźnie, co jest niezgodne z nauką Kościoła, co sprzeciwia się głoszonej przez tę naukę zasadzie miłości bliźniego! List księży biskupów naucza: „Według wskazań sumienia katolickiego należy wykonywać swój zawód". Trzeba kierować się etyką katolicką" i jako minister, senator, poseł, obywatel, i jako robotnik, urzędnik, rolnik, i jako nauczyciel, inżynier, lekarz, adwokat, i jako ziemianin, bankowiec, przemysłowiec". Prawda, że robotnikowi, urzędnikowi, rolnikowi i nauczycielowi aż nazbyt często przypomina się ich chrześcijańskie obowiązki. A innymi?

Konflikt i zgoda między Polską i Litwą

Konflikt polsko-litewski, najzupełniej anormalny i niebywały obraz zerwania stosunków między dwoma sąsiadami, trwał od dawna. Jego anomalię uznawali wszyscy, różnice zdań zachodziły tylko co do sposobu jego zażegnania. Tak samo w treści polskich żądań nie było niczego, co by mogło wywołać sprzeciw czyjkolwiek. Analiza krytyczna tam, gdzie ją wypowiadano, odnosiła się do formy.

Z tego wszystkiego wynika, że w zażegnaniu i rozwiązaniu konfliktu tkwi zarówno z polskiego, jak i z międzynarodowego punktu widzenia wiele, a nawet znaczna większość elementów pozytywnych, wyrażających się w dążeniu do zgodnego, lojalnego, przyjacielskiego współżycia dwóch sąsiadów. Położenie nacisku na tę stronę sprawy usunie wszelkie wątpliwości i obawy. Demokracja polska w ten sposób stawiała sprawę i rząd również wszedł na tę drogę.

Było rzeczą naturalną — z ich punktu widzenia — że endecja z przybudówkami wystąpiła z krytyką, żądając położenia ręki na Litwę, gwarancji i niemal aneksji. Obóz „narodowy", wysuwając żądania, które zostały odrzucone, wbrew swej woli przyczynił się do podkreślenia pozytywnej strony rozwiązania. Nie pozostało nic innego, niż nagromadzoną i niezużytą energię starym, bezpiecznym sposobem wyładować w napadach i hecach antysemickich. Widownią ich była Warszawa dn. 19 marca, a budziły one najgłębszy wstręt i oburzenie.

Doraźne korzyści

Doraźne korzyści, jakie wynikły dla III Rzeszy przez zajęcie Austrii stanowią: zapas złota i dewiz Banku Emisyjnego, zapasy towarów w przemyśle i handlu i austriackie wierzytelności zagranicą. Z tych trzech pozycyj narazie jest pewną tylko pierwsza. Według sprawozdania rocznego, ogłoszonego 11 marca, stan złota i dewiz w złocie na 31 grudnia 1937 r. wynosił 471,5 milionów shillingów, tj. 231 milionów marek złotych, co w przybliżeniu może wynosić połowę, lub trzecią część zapasu dewiz Banku Rzeszy jawnych i ukrytych. Trudniej natomiast ocenić wartość zapasów towarów w Austrii, z gruba możnaby je oszacować na maksimum jeden miliard marek. Tylko część spożycia możnaby Austrii pozbawić. Prawdopodobnie skończy się na tym, że obywatele Rzeszy będą przyjeżdżać do Wiednia, żeby się wyekwipować we wszystko, aż do wyczerpania zapasów austriackich. Część w ten sposób transferowanych towarów austriackich możnaby oszacować na maksimum 100 do 150 milionów marek złotych, w czym surowców zagranicznych zaledwie na 30 milionów marek złotych. Odciążenie gospodarcze Rzeszy jest więc raczej natury psychologicznej, a odczuje je tylko lepiej usytuowana warstwa ludności.

Ważniejszą zdaje się być pozycja trzecia: austriackie wierzytelności zagranicą. Wprawdzie przepadnie duża część; są to kapitały, które w ostatnich tygodniach uciekły i jeszcze ucieknąą i których właściciele za nimi powędrują; te już więcej nie wrócą. Także dużą część wierzytelności stanowią kapitały zainwestowane w państwach sukcesyjnych, we Włoszech i na Bałkanach, a więc w państwach, które czasowo mają ograniczenia dewizowe. Te wierzytelności będą mogły być upłynnione tylko z dużą stratą. Możnaby je oszacować na 400 do 600 milionów shillingów tj. 200 do 300 milionów marek złotych. Wprawdzie równoważą je znaczne długi zagraniczne Austrii, ale tych prawdopodobnie Rzesza wkrótce płacić nie będzie. Razem wziąwszy czysty zysk Rzeszy wyniesie narazie około 500 milionów marek złotych, co nie jest małą sumą. Ale chociaż nie wysanuje ona gospodarki niemieckiej i zaledwie pokryje miesięczny import surowców, to jednak przy napiętej sytuacji dewizowej jest to zupełnie niespodziewane odprężenie, które pozwoli gospodarce Rzeszy przetrzymać blokadę finansową na najbliższe 6 do 12 miesięcy.

Więcej powściągliwości nie zawadzi

W pierwszych dniach marca fala oburzenia przeszła przez Polskę po zabójstwie, popełnionym w kościele na osobie księdza Stanisława Streicha. Bezzwłocznie rozpuszczono famę po całym kraju, że morderca Nowak jest komunistą i działał z poduszczenia obcego, co natychmiast podchwycone zostało przez czeredy podżegaczy endeckich i zwrócone przeciwko... demokracji polskiej.

Dla każdego sprawiedliwego człowieka wobec ohydy moralnej i potworności zbrodni stawały się już rzeczą podrzędną poglądy polityczne mordercy, a tylko rozzuchwalona demagogia endecka, nie czekając na wyniki śledztwa, rozpalała namiętności tłumu, aby kuć żelazo partyjne póki gorące.

Podczas procesu sądowego morderca oświadczył, że nie jest komunistą, ale „narodowcem".

Możnaby więc moralną odpowiedzialność za czyn obłąkańca przerzucić teraz skolei i z powołaniem się na przewód sądowy na obóz „narodowy", odpłacając się pięknym za nadobne. Ale nie godzi się tego czynić z dwóch względów: 1) barbarzyństwem jest obciążać odpowiedzialnością całe środowisko za występek jednostki, 2) rzeczą nieludzką jest żonglowanie wariatami.

Dwugłos o postawie Marii Dąbrowskiej

I

Zaniepokojona opinią o książce Marii Dąbrowskiej „Moja odpowiedź", drukowaną w N-rze 5-ym Epoki w artykule p. Wł. Kowalskiego p. t. „Sielankowy zakątek Marii Dąbrowskiej" — postanowiłam coprędzej omawianą książkę przeczytać, aby sprawdzić, czy istotnie jest ona „samobiczowaniem się przed trybunałem obszarnictwa". Ponieważ „Rozdroże" uważałam za doniosłe zdarzenie w naszym życiu publicznym, więc zrozumiałe jest, że takie zdanie o książce, która jest odpowiedzią na ataki prasy obszarniczej z powodu napisania „Rozdroża" mogło wywołać wielkie zaniepokojenie i niesmak. Teraz, po przeczytaniu „Mojej odpowiedzi" za nakaz sumienia i obowiązku czytelnika wobec autora uważam zaprotestowanie przeciwko tak dowolnemu i złośliwemu wyłożeniu sensu książki, jak to uczynił p. Kowalski, i uprzejmie proszę Pana Redaktora o wydrukowanie tego listu w swoim piśmie. Ufam zresztą, że protestów będzie więcej, ludzi kompetentnych w rzemiośle pisarskim. Osobiście ośmielam się tylko zabrać głos jako czytelnik, który wiele zawdzięcza książkom autorki „Rozdroża". Wrażenie, które uważam za właściwe z przeczytania „Mojej odpowiedzi", napisane językiem tak prostym i jasnym, że zdawałoby się, nie zostawiającym miejsca na jakiekolwiek nieporozumienia — sprawdziłam nietylko na sobie.

Jako pracowniczka jednego z uniwersytetów wiejskich na wsi, mogę stwierdzić, że książka „Rozdroże" jest z największym zapałem przez młodzież wiejską czytana. Tak się zdarzyło, że na początku roku szkolnego biblioteka uniwersytetu nie posiadała jeszcze własnego egzemplarza „Rozdroża", krążył natomiast egzemplarz prywatny jednego ze słuchaczów. Wynik był taki, że w czasie wycieczki do Warszawy, w dniu wyjazdu, słuchacze wyrzekli się obiadu, aby z zaoszczędzonych pieniędzy zakupić dla biblioteki „Rozdroże", które pozostanie jako dar kursu — oczywiście z dedykacją i podpisami. „Moja odpowiedź", niestety, zjawiła się już pod koniec kursu. Zanim doszła ona do moich rąk — już ją porwali słuchacze, lecz do końca zdążył przeczytać tylko jeden. W tym czasie przeczytałam artykuł p. Kowalskiego w Epoce. Nie znając jeszcze samej książki, zapytałam o opinię o niej słuchacza, który ją właśnie skończył, a który na pewno byłby bardzo drażliwy na jakiekolwiek wycofanie się autorki ulubionej książki z zajętego w tej książce stanowiska. Oddał mi ją ze słowami: doskonale się rozprawiła ze swoimi przeciwnikami! Na moje pytanie, czy nie ma tam jakiegoś „kajania się" — zaprzeczył z oburzeniem. Czytam więc książkę sama — i przecieram ze zdumienia oczy! Ale myślę, że może dalej, może na następnej stronie znajdę to, o czym mówi p. Kowalski: „Gdy czytamy „Moją odpowiedź", odnajdujemy w niej mimowoli analogię do tych zjawisk, notowanych w kronikach sądowych, gdzie oskarżony pod wpływem załamania się psychicznego, kaja się i wypiera się swego czynu w sposób oskarżycielski dla siebie". I dalej: „w tym oskarżycielskim dla siebie tonie przemawia do nas Dąbrowska na 110-ej stronie swej broszury". Nie przestrzegając na razie kolejności, otwieram książkę na 110-ej stronie. Jest to strona ostatnia i ma już tylko 10 wierszy. Oto one: „Bardzo możliwe, że spotkają mnie za to nie tylko fałszywe komentarze, lecz i nowe próby obrzucania mnie błotem, szkalowania i zniesławiania. Na to jednak nie będzie ani żadnej rady ani odpowiedzi. Pozostanie mi tylko iść dalej swoją drogą za głosem natchnienia, sumienia i obowiązku, a ten mówi mi to mniej więcej, co Wergiliusz powiedział w Boskiej Dantemu:

„Cóż tobie szkodzą te gwary i te szepty?

Pospieszaj za mną, a ludzie niech gadają".

Po przeczytaniu książki jeszcze raz czytam artykuł o niej — i w pewnej chwili obracam książkę tytułem na wierzch, żeby sprawdzić, czy się wreszcie nie mylę, czy to o tej książce mowa. Niestety — tak.

Cała więc książka M. Dąbrowskiej jest zaprzeczeniem wyżej przytoczonych cytat z artykułu p. Kowalskiego. Trudnoby było na to przytoczyć kontra - cytaty, najlepiej przeczytać całą książkę, ale przeczytać uczciwie. M. Dąbrowska na str. 119 pisze: „Zważywszy na powszechną u nas umiejętność sumiennego czytania, na wielką dozę złej woli, na bezprzykładne rozpętanie się ślepych namiętności, zdaję sobie sprawę, że i tę moją odpowiedź każdy może poprzekręcać, poprzeinaczać, fałszywie sobie wytłumaczyć, wykpić". Teraz nie mam wątpliwości, że wspomniany artykuł należy do tej kategorii wypowiedzeń. M. Dąbrowska zdaje sobie jasno sprawę, z tego, że jej postawa w stosunku do ziemiaństwa nie jest „oskarżycielska", mimo dobitnej wymowy zestawionych przez nią w „Rozdrożu" faktów historycznych (choć pomawiano ją także o dopominanie się na ziemiaństwo sądu i kary), lecz pełna szlachetnego obiektywizmu, mówi o tym: „To też najżyczliwsi nawet czytelnicy „Rozdroża" z pośród ludowców, socjalistów czy demokratów krytykowali tę stronę mojej książki. Ale jakże ta krytyka była kulturalna, rzeczowa i przyzwoita w porównaniu z wystąpieniami przeważnie herbowych, a nieraz i utytułowanych potomków dzierżącego jakoby sztandar kultury narodowej rycerstwa (str. 45). Szkoda, że pan Kowalski swoim artykułem zaprzeczył tej opinii autorki. Jej dżentelmeński stosunek do niektórych przeciwników, z którymi się rozprawia, sama tłumaczy: „Wymieniam ich nazwiska z wdzięcznością za pozostawienie mi bodaj złudzenia, że zachował się jeszcze w Polsce okruch możliwości prowa-

Do przyjaciół „Epoki"

Prosimy o podanie nam adresów osób, którym należy przesłać numery okazowe „Epoki"

dzenia dyskusji nie na karczemnym poziomie". Oto dlaczego p. Starowiejską-Morstinową nazywa „rycerskim przeciwnikiem". Niestety, nie dla każdego widocznie jest zrozumiałe, że można nawet w obozie przeciwnika szukać — człowieka! To też w tym turnieju nie tyle przeciwnik jest rycerski, (tak poważnemu dziełu, jak „Rozdroże" czy odważyłaby się p. S.-M. zrobić zarzut „naiwności", gdyby autorem jego był mężczyzna, a nie kobieta..?) — ile p. Dąbrowska po rycersku się z nim rozprawia.

Do obrony osobistej, której M. Dąbrowska poświęciła nieco miejsca we wstępie, a którą tak jej wytyka p. Kowalski, rozkładając ją znów fałszywie na całą książkę — została sprowokowana postawą „krytyki" ze strony obozu ziemiańskiego". Znaczna jednak część tego, co z powodu „Rozdroża" napisano, ma za przedmiot nie rozbiór książki, tylko moją osobę. „Niestety, na tory osobiste schodzi także miejscami p. Kowalski: „Ale nas już teraz zastanawia, jak postąpiłaby sama autorka, gdyby miała władzę?" Wraz z innymi powiedzeniami suggeruje to niedwuznacznie pytanie: po której byłaby stronie, gdyby jej, jak Niechcicom, nie brakło własnego dworu? Na to pytanie odpowiada jasno ukryty i jawny sens, którym przepojone są wszystkie jej dzieła; przemawia z nich do nas pełny człowiek, którego rozum i serce w harmonijnej zgodzie służą wewnętrznemu, nieomylnemu „natchnieniu". A na kimże można się oprzeć w realizowaniu ładu i sprawiedliwości, jak nie na człowieku; wszak najszlachetniejsza doktryna jest tylko narzędziem w ręku człowieka, narzędziem, na który w każdej chwili można nadziać bagnet. Za tym czy urodziłaby się w pałacu, czy w chacie — zawsze trafiłaby na drogi poszukiwania sprawiedliwości i miłości bliźniego. Więc znów nie ma racji p. Kowalski, gdy mówi: „Jak sama bowiem stwierdza, obrażono ją niesłusznie, gdyż żadnej walki o wyrażone w „Rozdrożu" idee podejmować nie zamierzała". Przede wszystkim nigdzie tego nie stwierdza, a walka jej o idee — to jej dzieła, między nimi „Rozdroże" i „Moja odpowiedź". I jak prawdziwy żołnierz idei — zbiera oto kamienie na swojej drodze.

A teraz jeszcze parę słów w sprawie ogólniejszej. My czytelnicy, nie mogąc sobie łatwo poradzić z wyborem książek wśród powodzi wydawnictw, chętnie zasięgamy o nich opinii z ocen i artykułów, drukowanych w prasie. Czy możemy im ufać? Wskazany przykład jest zbyt jaskrawy, aby z niego nie wyciągnąć wniosków. Rozumiem, że można np. książkę dobrą z punktu literackiego ocenić ujemnie, patrząc na nią z pewnego punktu widzenia — ale przecież nie można przekręcać jej zasadniczego sensu! Do pisania o książce powinno przede wszystkim obowiązywać uczciwe i obiektywne przeczytanie jej. Smutny wniosek o poziomie naszego czytelnictwa wysnuła Dąbrowska na podstawie doświadczeń, których obfite żniwo zebrała z okazji napisania „Rozdroża". Sądzę, że książka ta, a jak się okazuje także i „Moja odpowiedź" mogłyby posłużyć za temat do ciekawego studium z dziedziny psychologii czytelnictwa: jak się załamała ich treść u różnych czytelników w zależności od ich „światopoglądu"? Prawdopodobnie zobaczylibyśmy, jak w tej morderczej wojnie światopoglądów malutko zostało miejsca — na prawdę.

WIESŁAWA BANASZEWSKA

II.

W przedmowie do książki Hipolita Grynwasera, wydanej w r. b. nakładem Instytutu Gospodarstwa Społecznego p. t. „Sprawa Włościańska w Królestwie Polskim w latach 1861 — 62", profesor Ludwik Krzywicki stwierdza:

„Zdawało mi się, iż na przestrzeni wieku XIX znam nie tylko drogi zasadnicze, ale i różne zaułki sprawy włościańskiej w Kongresówce. Obecnie muszę przyznać, iżem błądził".

I dalej:

„W obliczu tych materiałów (zebranych przez H. G.) nie mogę oprzeć się wrażeniu, iż znamy dość powierzchownie psychikę włościan i pobudki ich zachowania się, w wieku XIX. I właśnie prace p. H. Grynwasera uchyliły nieco tej tajemnicy, ukazują nam naszego „poczciwego i niemrawego chłopka" niewątpliwie w innym świetle".

Dalej:

„Historia chłopstwa naszego jest spowita w jakiejś mgle zakłamania, odtwarzana pod kątem ideologii i przesądów dworu lub fałszowania w duchu mdłej czułostkowości Brodzińskich".

Wreszcie:

„Przyczynek p. H. Grynwasera pogłębia nasze pojęcie o tym tworzywie ludzkim w obrębie warstwy włościańskiej. A nade wszystko wykazuje, że w chłopstwie tkwi bądź co bądź materiał na czynniejszą siłę dziejową, niż zazwyczaj mniemamy".

Przytoczone urywki z przedmowy znakomitego socjologa Ludwika Krzywickiego jakże są wymowne i jak wiele dają do myślenia!

Oto kraj, składający się w 70% z chłopów, których się nie zna, a więc się ich i nie rozumie, a mimo to nimi się rządzi i urządza się ich byt, podpowiada lub narzuca idee a także karci się i karze, na nich się liczy, jako na dźwignię kraju.

Czyż może być bardziej tragiczne nieporozumienie, zwłaszcza, że z drugiej strony 70% narodu nie rozumie tych, którzy się uważają za powołanych do dawania chłopom rad, nauk i narzucania kierownictwa.

***

W serii artykułów, drukowanych w „Epoce", wskazywaliśmy na kwestię zakłamywania chłopów w Polsce i sposoby, którymi to zakłamywanie się przeprowadza. (Epoka z d. 20.X. 1936 r., 5.XI. 36 r., 20.II. 37 r., 5.IV. 37 r., 20.VI. 37 r., 5.VII. 37 r. i 15.II. 38 r.).

Jako na jeden z tych sposobów wskazywaliśmy literaturę, która odpowiednio urabiała inteligencję postępową, pracującą wśród chłopów. A skolei ta inteligencja, podświadomie podtrzymywała i propagowała fałszywą wersję o chłopach polskich.

Chcieliśmy zwrócić uwagę szczególnie tej właśnie inteligencji na popełniany błąd. Byliśmy jednak zgóry przekonani, że celu naszego łatwo nie osiągniemy. Stanowisko bowiem nasze tak grutnownie podważa i burzy dotychczasowe wyobrażenia o chłopach, że wydaje się niekiedy prostackie czy *wulgarne* i szkodliwe. Gdy tymczasem wyzbycie się utrwalonych pojęć nie jest łatwe.

Zakłamanie, którego w Polsce dokonała stronnicza wersja szlachecka i czułostkowa literatura, krzewi się nadal w wolnej Polsce. Młoda literatura, przybrana w problematykę socjalną, daje nam te same

typy Brodzińskiego, jedynie odwrócone, typy, godne współczucia czułostkowych paniuś. Ale Brodziński, w dobie poniżania i gardzenia chłopem, spełniał przynajmniej tę dodatnią rolę, że opisując piękno dusz chłopskich na łonie przyrody, jakby wołał: „Nie gardźcie nimi, to są piękne stworzenia!" W ten sposób kiedyś łagodził konflikty. Dzisiejsza literatura, wtłoczona w schematykę socjalną, ciosa chłopa ze spróchniałego pnia, i ukazując taką niedorajdę, woła: „Patrzcie, jaki bidul! Litujcie się nad nim! —

I nie probójcie pokazywać chłopa w roli „Pańskich Dziadów" czy też „Skąpca" Bałuckiego, lub roli szlachcica leniucha z noweli Dygasińskiego, albo też innego huncwota i opijducha.

Jest w tej zabawie w chłopa coś takiego, co przypomina stosunek do hodowli stadnin końskich. Chłopów, jak te stadniny, dzieli się na różne maści: Łowickie, Kujawskie, Kurpiowskie, itd. Z tą tylko różnicą, że do każdej chłopskiej stadniny i opieki nad nią rości pretensje wielu hodowców.

Jeśli wskażecie braki hodowanego stworzenia, wzniecicie burzę przeciwko sobie. Dajcie skolei typy „bezbożne", a zobaczycie jak runie przeciw wam ta druga strona „oświeconych" — znów za zbrukanie chłopów.

Nie ma w literaturze o chłopach Judymów, ani Linowskich, Zagłobów, czy Dusiów. Jest gęstwina leśna. Gdy wchodzicie do lasu macie wszystkie drzewa jednakowe, różniące się od siebie tylko szatą zewnętrzną.

Komu w Polsce potrzebny jest taki stan rzeczy?

Owszem, potrzebny jest reakcji, ale nie Polsce, jak również zbyteczny jest inteligencji postępowej, która wręcz woła o „ładnego człowieka". To znaczy o malowankę, piękną lub niedołężną, ubogą, godną litości.

Ktoś powiedział, że inteligencja boi się rzeczywistego chłopa. Nie jest to, naszym zdaniem, prawdą. Boi się rzeczywistego chłopa reakcja, która też złośliwie podtrzymuje kłamliwą o chłopie wersję, przez co uniemożliwia zrozumienie i porozumienie się inteligencji z chłopami, a nawet częściowo i z robotnikami.

***

Przechodzimy do bezpośredniej odpowiedzi pani Banaszewskiej.

Poprzednie nasze artykuły przeszły bez echa. Nikt nie podjął z nami dyskusji, nikt nie zainteresował się postawionymi tam zarzutami. Dopiero gdy się tak złożyło, że, mimo woli, wypadło wskazać na osobę, nastąpiła odpowiedź.

Żałujemy bardzo, że reakcja ta nie sięgnęła głębiej do poruszonego przez nas tematu. Ale widocznie i nie mogła sięgnąć.

Jeśli chodzi o Marie Dabrowską, obrona Jej wobec nas jest zbyteczna. Pisaliśmy w „Epoce" z prawdziwnym uznaniem o historycznej cześci „Rozdroża". Odpowiedzieliśmy również na łamach „Epoki" p. K. Pruszyńskiemu na jego atak na „Rozdroże" i wzięliśmy ostro w obronę Marię Dąbrowską.

Znajomość poprzednich dwóch artykułów wystarczyłaby dla zrozumienia naszego osobistego stosunku do autorki „Dni i nocy".

Ale cóż począć skoro w Polsce na punkcie „tykalności" osobistej jest tak duże przeczulenie, że przesłania nam istotę zagadnienia.

Czymżeż to ubliżamy znakomitej i szlachetnej pisarce?

P. Banaszewska pisze: „Maria Dąbrowska zdaje sobie jasno sprawę z tego, że jej postawa w stosunku do ziemiaństwa nie jest oskarżycielska".

My się tego oskarżycielstwa od Marii Dąbrowskiej nie domagaliśmy i nie domagamy.

Stwierdziliśmy w „Epoce" wyraźnie: Nie pozostaje nam nic innego, jak zgodzić się z jej (Dąbrowskiej) postawą duchową Skargowskiego, wniosłego ostrzeżenia dla szlachty". Czyli innymi słowy, to samo, co mówi p. Banaszewska.

Jeśli chodzi o pochwycenie nas na gorącym uczynku t. j. o zarzut samobiczowania się „przed trybunałem obszarniczym" i wyrzekania się walki o cele wyrażone w „Rozdrożu" — to ten zarzut nie my, przenieśliśmy na 110 stronicę, lecz błąd zecerski, którego łatwo się było domyśleć. (nie 110-a stronica, lecz 110 stronic). My uważamy, że cała broszura jest niepotrzebnym samobiczowaniem się i wyrzekaniem walki. Np. na stronie 40-ej znajduje się zdanie:

„... w „Rozdrożu" ja się nie tylko „zniknięcia" ziemian nie domagam, ale naodwrót szukam dla nich dróg i sposobów jaknajpożyteczniejszego związania się w nowych warunkach z ziemią i społeczeństwem" itd. (podkr. nasze).

Takich Skargowskich ostrzeżeń i wyrzeczeń jest w broszurze wiele. Celowości ich tutaj dochodzić nie będziemy, ponieważ sprawę tę wyczerpaliśmy poprzednio.

Uważamy, że Marii Dąbrowskiej wolno jest zajmować taką pozycję jaką uważa za zgodną ze swoim sumieniem, a nam wolno te pozycje krytykować mimo wielkiego osobistego podziwu i uznania dla autorki „Dni i nocy". Więcej nawet: uważamy za taktyczny błąd pomijanie milczeniem naszych własnych błędów, czy to przez kurtuazję, czy też z obawy przed przeciwnikiem, który, przecież błędy nasze dokładnie obserwuje i z nich korzysta, gdy my, zatajając je, trzymamy w nieświadomości siebie.

W artykule naszym powiedzieliśmy wyraźnie, że stanowisko Marii Dąbrowskiej nie jest odosobnione i nie Ją specjalnie mieliśmy na myśli, lecz całą przeszłość, całą naszą postawę abstrakcyjną wobec chłopów.

Ponieważ już niejednokrotnie o tej abstrakcyjności pisaliśmy, nie uważaliśmy za stosowne dawać szerszej motywacji, bardziej usprawiedliwiającej nasze krytyczne stanowisko. Uzupełniamy to dzisiaj i stwierdzamy z głębokim przekonaniem, że jeśli inteligencja nie skontroluje swojego stosunku do chłopów, wbrew wszelkim pozorom, będzie zawsze wisieć w oderwaniu od mas chłopskich — *podkreślamy to — w Polsce*. Bowiem chłop w Polsce ducha swojego nie wypaczył, nie mając ku temu warunków. Ale my tego nie widzimy, a zatem jesteśmy w nieustającym poszukiwaniu dróg do chłopa, w rzeczywistości popełniamy błędy wszyscy.

Te same błędy popełnia i p. Banaszewska, czy to, gdy uczy w Uniwersytecie Ludowym, czy wtedy, gdy pisze list do „Epoki".

I nie może być inaczej. Bo jeśli jest zakłamamanie, ogarnia ono nas wszystkich. Korzystamy bo-

wiem z tej wiedzy i z tej literatury, jaka istnieje oraz ustalonych wersji, zasad i metod.

Jedynie temu brakowi możemy zawdzięczać to, że nikt nie podjął z nami dyskusji wcześniej. Aż gdy wreszcie odezwała się p. Banaszewska, uderza w struny uczucia. Właśnie w uczucie. Powołuje się na uczniów, którzy z zachwytem czytali „Rozdroże", jak gdyby ktokolwiek miał co do tego wątpliwość.

Natomiast mamy, i to dużą wątpliwość, czy uczniowie ci zdolni byli wobec tego do zanalizowania „Mojej Odpowiedzi", co wynikać może u nich właśnie z braku krytycznych wykładów o literaturze.

Wreszcie gdy p. Banaszewska bierze w bezpośrednią obronę Marię Dąbrowską, oświadcza z żalem że znakomita pisarka odniosła się życzliwie do krytyków ludowych, a tymczasem Kowalski, chłop, taką niewdzięcznością się odpłacił. Poprostu zaleciało od niego chłopskim potem, czego trzeba było się ustrzec aby ludzi to nie zrażało do chłopów.

Otóż pozwolimy sobie zauważyć, że krytyka ludowców dla tego nie raziła, że nie odbiegała od utartego szablonu. Nie wzruszyła utartych ścieżek tak, jak to uczyniliśmy my.

Obawy, iż ktoś nabierze wstrętu do chłopów za naszą prawdomówność bez ogródek nie przeraża nas wcale. Uważamy, że chłopom bardziej szkodzi czułostkowość, wreszcie staranie się o wdzięczność (czyją i po co?), poniża chłopów i, odwrotnie, zakłamuje inteligencję.

Wydaje nam się, że już nadszedł czas, by wreszcie chłop stanął równy między równymi, z wszelkim prawem, a więc i z prawem sprzeciwu wobec oświeconych przyjaciół.

My właśnie takie prawo ludzkie przyznajemy każdemu i p. Banaszewska niepotrzebnie podnosi larum, jakby wołając: „I cóż z tego, że się Maria Dąbrowska urodziła we dworze?" — Bardzo dobrze! — odpowiadamy spokojnie. — Pani nas nie zrozumiała.

Po tym, co powiedzieliśmy wyżej, że trzeba raz zaprzestać w literaturze ciosania chłopskich aniołków z drewnianymi głowami i bez głów, pokazać bez obawy i urazy zarówno typy ujemne lub śmieszne, jak poważne i dodatnie: bohaterów, filozofów, poetów; pokazać — pracowitych i leniuchów, sknery i żyjących bez skrępowania. Opisać walkę chłopów o byt, i ich pracę. Jakże po tym można stawiać nam zarzut, że odnieśliśmy się źle do Marii Dąbrowskiej, bo... szlachcianka?

Co zaś do tego, jak byłoby, gdyby Marii Dąbrowskiej nie brakło, jak Niechcicom, dworu, to już Feuerbach powiedział, że: „w pałacu inaczej się myśli". I trudno temu przeczyć, choć wyjątki się zdarzają. Jednakże słuszność twierdzenia Feuerbacha usprawiedliwiają dzieje i psychika naszego ziemiaństwa. Czy to więc jest zarzut?

Oto jest ta nasza rzekoma złośliwość, o którą nas p. Banaszewska posądza. Wydaje nam się, że przy krytyce ważna jest tylko analiza podstawowej myśli, którą posługujemy się w szukaniu prawdy. Wszystko inne jest nie ważne, lub mało ważne.

Jednakże poszukiwanie prawdy jest niemożliwe bez walki. Kto zaś chce o prawdę walczyć, musi się przede wszystkim wyzbyć uraz osobistych w dyskusji. A do błędu mieć odwagę przyznać się z tą samą rzetelnością i odwaga, z jaką uczynił to znakomity badacz i uczony, profesor Ludwik Krzywicki.

WŁADYSŁAW KOWALSKI

Céline w nowej kreacji

Motto: „Pisarzowi nie wolno pielęgnować w sobie nienawiści nawet do swego śmiertelnego wroga".

Tolstoj.

Zacofańcy obu półkul zacierają ręce z radości i zachwytu: mają oto nową okazję do odtańczenia czarnosecinnej hosanny. Do ich wyszukanego towarzystwa doszlusował bowiem teraz, wraz z całym rynsztunkiem językowej kwiecistości portowo - marsylskiej i bezczelnością południowego temperamentu nie byle kto — monsieur Louis Ferdinand Céline, autor „Podróży do kresu nocy", „Śmierci na kredyt" i „Mea Culpa".

Céline'a, tak jakeśmy go znali, można było łatwo sobie wyobrazić w najdziwaczniejszych rolach. Czuliśmy w nim niepoprawnego cynika i nihilistę, oślepiał nas często efektownymi błyskawicami swoistego chowu anarchizmu, widzieliśmy go już komunistą i antykomunistą, bronił żarliwie Hiszpanii, potem chwalił gen. Franco (mimo że nadal zachwycał się literaturą Hiszpanii ludowej), występował w roli żarliwego humanisty, to znów jako uczony przyrodnik humanizm wyśmiewał, był pacyfistą i zachwycał się de la Rocquem, słowem: można było po nim spodziewać się wszystkiego. Ale Céline...

Grubą, około czterysta stron liczącą książką, na plecach — „Bagatelles pour un massacre" — przeszedł z obozu Rollanda, Gide'a, Mauriaca, Fernandeza, Malraux, Plisnier'a, Cocteau do... Cuzy, Trzeciaka i Goebbelsa.

Początkowo śmiano się w paryskim świecie literackim z nowej niespodzianki, którą preparuje monsieur Ferdynand. Szykuje on pewno — mówiono — nową jakąś bombkę cuchnąco - łzawiącą w rodzaju tych, które skuteczniejsze są do rozpraszania demonstrantów na Place de la Concorde, niż motopompy Garde Civile... Okazało się jednak, że nie doceniano Céline'a.

Céline, niewinne i naiwne czterdziestokilkoletnie chłopię paryskie, które zna świat lepiej chyba niż własny swój język, chłopię, które było już na i pod wozem, handlowało już kauczukiem i murzynkami — okazało się dotychczas oszukane i zaszachrowane.

Teraz dopiero przejrzał. A że jest pisarzem, więc zawołał jaknajgłośniej, jakajbardziej wyszukanym paryskim argot: wiem już dlaczego jest tak podle na tym naszym świecie, skąd strajki i wojny, choroby i krachy giełdowe, prostytucja i afery. Chcecie wiedzieć kto temu wszystkiemu winien — żyd! I jednym tchem, po swojemu zawołał ryczałtowo: Les Juifs c'est notre plus grande malheur — żydzi są naszym największym nieszczęściem!

To będzie teza, potem nastąpi rozwinięcie tematu.

Temperament i wyskokowość Céline'a, rysy charakteru same w sobie raczej sympatyczne, nie zmusiłyby nas do zajmowania się jego nowym wybuchem. Przywykliśmy już, zwłaszcza u nas, traktować i takie „programy" serio. Ustalona to choroba i zaraźliwa: furror teutonicus.

Dokoła nowej książki Céline'a rozpętała się jednak zbyt wielka burza, różne matniaki zarzuciły już wędkę w brudną wodę, już biją kapitał z tego niepoważnego, obłąkanego niemal bełkotu sangwinicznego lekarza paryskiego. Warto więc wniknąć trochę w tę ciemną... podróż do kresu bzdury.

Trzeba przyznać: towarzysz to dla naszych żyletkarzy bardzo cenny. Pióro wyśmienite, temperament piekielny, niecodzienna odwaga i... nazwisko. Cóż bowiem znaczy w porównaniu z Célinem taki trzeciak — rzędny znawca „mędrców Syjonu", powtarzający oklepańce za Streicherem? Wstyd i tyle. Ale Céline — to i Zachód i kultura i rozgłos...

Więc jego soczysty, niewybredny jak wiadomo język, podnosi się u nas niemal do znaczenia wersetów z Ewangelii, z namaszczeniem cytuje się chorobliwie nienawistne zdania o Żydach, delektując się ich sensem i morałem. Szybko reakcja wybaczyła neoficie wszystkie „herezje" pacyfistyczno - ateistyczne, zawarte w dotychczasowych jego książkach. Stał się teraz szlachetnym rycerzem, tu i ówdzie pasują go na „prawdziwego humanistę" itp. Co tu dużo gadać — swojak jest i basta!

Ale może sobie p. *Spec* („Myśl Polska Nr. 4) deklamować w kółko o tym, że „niepodobna nie odczuć w *postawie* Céline'a także prawdziwego porywu przytłoczonych i zapomnianych uczuć *ludzkich*, potężnego usiłowania wzlotu *nad* poziom gnoju i brudu, wyraźnego kierunku do góry, ku Niebu" — my damy prędzej wiarę świadectwom krytyki francuskiej. Sadzę, że p. Spec ustąpi im prymatu w znajomości Céline'a.

„Bagatelles pour un massacre". Sam fakt wydania przez pisarza (nie przez żadnego demagogicznego polityka) książki publicystycznej, z której ram *wściekłość, nienawiść i pogarda dla człowieka* przelewa się lepkim strumieniem brudu, jest już dostatecznym momentem dyskwilifikującym autora jako pisarza. Jest to, jak zaznacza prasa francuska „wypadek bez precedensu w historii Zachodnioeuropejskiej literatury", to też krytyka określa wypadek ten lapidarnie, jako patologiczny.

Można bowiem zrozumieć antysemityzm, ksenofobię itp. akcesoria totalnego szowinizmu powojennego, ale z kart książki Céline'a zieje tak wielka nienawiść, taka bezdenna wrogość i złość, że tłumaczyć to można jedynie zwyrodnieniem. Powiedział kiedyś Tołstoj: „Pisarzowi nie wolno pielęgnować w sobie nienawiści nawet do swego śmiertelnego wroga".

A Céline — pisarz? Parska jadowitą śliną, zachłystuje się okrucieństwami, któreby wymyślił „gdy by był dyktatorem", roztacza wspaniałe wizje swojego obłąkanego programu zgładzenia za jednym zamachem „wroga ludzkości Nr. 1".

Wszystkich żydów — pisze on — od szczeniaka po starca, załadować w pociąg i wysłać na front, do pierwszej linii ognia. Trzymać ich tam tak długo aż wszyscy zdechną. A, broń Boże, nie przetransportować rannego żyda na tyły, bo „żyd 15 metrów poza linią ognia — jest już bezpieczny". I dalej: „każde przekroczenie tego zakazu karane będzie śmiercią, bez sądu..."

Nie, to wygląda na ponury żart zrodzony w głowie człowieka chorego, maniaka.

Twierdzą jedni, że przyczyną wyskoku Céline'a jest jakaś błaha sprawa czysto osobista: inni dowodzą, że w książkach Céline'a przebija raczej troska o przyszłość świata...

Spróbujmy więc zanalizować pisarza, przeklinającego ordynarnym językiem hal paryskich z „pavillon de la viande", od strony dodatniej, pod kątem „troski o losy świata".

Wojna. Kto ją wywołał, podsycał, finansował i t. d.?

C'est les Juifs qui preparent la guerre; c'est les Juifs qui envoient les gohim dans la tranchée... Ils régnent partout... les Soviets, l'Angleterre, la France, les Etats Unis, partout...*).

Oczywiście, gdy maligna zasłania horyzont, wzrok jest tępy i widzi tylko niektóre szczegóły. Rotschild, Rotschild Rotschild; francuski, angielski czy wiedeński, ale Shylok!

No dobrze! I gdyby ktoś zapytał: monsieur Ferdinand, a co robi naprzykład włoska Banca Comerziale w Abisynii, niemiecka Kreditkasse w Hiszpanii, albo japoński Mitsui Bank w Chinach? — odpowie on z miejsca. Proszę: Banca Komerziale? — żyd Yvon! Kreditkasse? — Żydzi! Mitsui? — Żydzi? Wszędzie są Żydzi. Jeśli nie pełni, to półżydzi, ćwierć-żydzi, ½, $^1/_{32}$, ale Żydzi...

Daremnem byłoby oczekiwać rozsądnej odpowiedzi. Céline spieszy się, nie pozwala odetchnąć. Wyrzucha przemocą w uszy coraz bardziej soczyste wyzwiska i „argumenty", zaczerpnięte wprost z... skarbnicy streicherowskiej.

Sztuka — Żydzi, przemysł — Żydzi, finanse, prasa, ministrowie, generałowie — Żydzi i Żydzi. Nie chce się dalej czytać.

A tymczasem niechlujny atak sprawił, że niektóre dobrze zaobserwowane i trafnie uchwycone wady specyficznie żydowskie, wysunięte przez Céline'a, giną w powodzi bzdur.

Obok słusznych sadów znajdujemy odrazu wniosek logiczny: zatłuc! Więc wszystkich tych parchów i pisarzy, uczonych i pętaków, finansistów i sutenerów, impotentów i grandziarzy, skrzypków i ministrów — w jeden włożyć pakunek (attention! ofrankować, żeby poczta nie zwróciła) i — wio do piekła

Proszę bardzo: niech żydzi się mszczą za swego Einsteina, za prof. Hirschfelda, za Zweiga, Feuchtwangera, niech się biją z Hitlerem, voila!

*) To żydzi przygotowują wojnę; żydzi którzy wysyłają „gojów" w okopy. Oni rządzą wszędzie: w Sowietach, w Anglii, we Francji, Stanach Zjednoczonych, wszędzie!"

Współpracownikami „Epoki" są nie tylko ci, którzy w niej piszą. Są nimi także ci wszyscy, którzy jej idee podzielają; którzy je propagują i rozpowszechniają.

Tak oto gna Céline do swego kresu, ani na chwilę nie obniżając temperatury, nie pozwalając czytelnikowi złapać tchu, a właściwie trochę świeżego powietrza...

Nie usiłujemy przypadkiem szukać źródła nowego objawienia Céline'a u pp. z... Gestapo. To byłoby zbyt skomplikowane, jak na niego. I chociaż obecnie wzorem cnoty dla Céline'a jest właśnie Streicher, nienawidzi on pewnie Prusaków nie mniej od Żydów.

W prasie francuskiej znajdujemy bardziej proste tłumaczenie wypadku Céline'a. Pisze o tym Pierre Loiselet w „Marianne":

„To co p. Céline napisał na kilkuset stronicach swojej nowej książki, jest bezwątpienia raczej patologią, niż zdrowym sensem, lub oburzeniem. Ten mieszczański anarchista, subtelny analityk ludzkiej duszy, piewca piękna człowieka, waha się (balance) w swojej książce między geniuszem a obłąkaniem". I dodaje: „on ne condamne pas les malades, on ne les juge pas non plus"...**).

Nie idzie tu o obronę Żydów. Céline jej zresztą zgóry nie dopuszcza. To co autor „Bagatelles" napisał, zwraca się raczej przeciwko niemu samemu, bije w samego Céline'a. Jarmarcznym swoim krzykiem stał się on niepoważny, ośmieszył się i przekreślił wszystko to, co dotychczas zdobył, t. j. pozycję bezsprzecznie poważnego pisarza.

Bo przecież czytelnicy Céline'a pamiętają jeszcze „Voyage au bout de la nuit" i cyniczny stosunek do wojny wogóle. Przyznawał się tam Céline bez ogródek do krycia się na tyłach i do wszelakiego rodzaju markieranctwa, bo „byłem zbyt mądry, żeby nie dawać umierać innym"... To był Céline — cynik. Teraz stał się moralistą i zarzuca innym to, co dla siebie uważał za cnotę. Nie, naprawdę, „chorych nie należy sądzić" — jak mówi krytyk z „Marianne".

Ale casus Céline posiada jeszcze swoje znaczenie szersze, stronę inną, rozciągającą się na piśmiennictwo współczesne wogóle.

Casus ten świadczy o tym, że gdy nawet światły pisarz traci swoją filozoficzno - społeczną postawę twórczą (bo nie można chyba „Bagatelles" nazwać *postawą twórczą)*, gdy pisarz nie widzi przed sobą przyszłości — może jak Céline staczać się po równi pochyłej bzdury, z fatalistyczną niemal nieuchronnością, aż do kresu obskurantyzmu.

JAN KAROL WENDE

**) Chorych nie potępia się, a tym bardziej nie sądzi się.

Prześwietlone Niemcy

W artykule p. t. „Tajemnica Rosji" i „Refleksy faszystowskie w Rosji Sowieckiej" („Epoka" Nr. 21 r. ub. i Nr. 2 r. b.), będących streszczeniami źródłowych i z wielkim znawstwem pisanych prac na te tematy w znakomitym kwartalniku amerykańskim „Forein Affairs" — staraliśmy się zaznajomić naszych czytelników z rzeczywistością sowiecką. Czyniliśmy to w tym przeświadczeniu, że najfantastyczniejsza nawet pogłoska o tej rzeczywistości, nie będzie jeszcze tak sensacyjna, jak zwykła i prosta... prawda.

Obecnie, po wcieleniu Austrii do Rzeszy przy pomocy wojsk zmotoryzowanych i desantu lotniczego, cały świat ma zwrócone oczy na Niemcy i obserwuje sukcesy polityki hitlerowskiej, uwarunkowane częściowo ustępliwością i tendencjami kapitulacyjnymi Zachodu. Ale w świetle tych piorunujących uderzeń i zdobyczy powstało w opinii publicznej świata, niedokładnie informowanej, wyobrażenie o jakiejś niesamowitej, niezwalczonej potędze Niemiec, przed którymi nie pozostaje nic innego jak się ukorzyć. Polityczna prasa angielska — a na jej czele poważny londyński „Economist", czasopismo liberalne, mające za sobą 130-letnią zaszczytną służbę, daje w najnowszym numerze obszerną i gruntowną analizę rzeczywistości w III Rzeszy. Analiza to, oparta na źródłach niemieckich, odsłania słabość potencjału gospodarczego Niemiec dzisiejszych, potencjału, który jak wiadomo, decyduje dziś o losach każdej wojny, nie zakrojonej, naturalnie, na miarę awantury austriackiej. Przytaczając w obszernym streszczeniu wywody „Economista", pragnęliśmy ułatwić naszym czytelnikom poznanie rzeczywistego układu sił w polityce europejskiej.

EPOKA

Niemcy nie mogą liczyć na import z zagranicy.

Wszelkie porównanie potencjału gospodarczego Niemiec musi sięgać do stanu 1914 r. Znamy już zdolność obronną przy ówczesnym stanie rzeczy: pozwolił on Niemcom na przetrwanie lat czterech, alle okazał się zbyt słaby, by podołać dalszym wymaganiom. „Niemcy przegrały wojnę wskutek braku surowców i środków żywności" — pisze generał — porucznik Marx w niemieckim organie wojskowym.

Porównywając jednak rok 1914 z sytuacją obecną, trzeba pamiętać, że dziś ona jest gorsza o wiele pod jednym względem. W r. 1914 Niemcy były krajem wierzycielskim, posiadały olbrzymie należności zagranicą. Nadto kredyt Niemiec był nienaruszony, chętnie udzielano im pożyczek. Wartość przedwojennych inwestycji niemieckich zagranicą oceniano na 25 miliardów marek w złocie, ich zapas złota wynosił 1.71 miliardów marek. Korzystając z nieograniczonego zaufania, Niemcy mogły pożyczyć w ciągu czterech lat wojny około 10 miliardów marek zagranicą. Dziś o tym wszystkim nie ma mowy. Niemcy są krajem dłużniczym, posiadają zagranicą nie wierzytelności, lecz długi, długi, które notabene spłacają niechętnie i z trudnościami. Zapasy złota, nawet jeśli uwzględnić tajne fundusze Reichswehry, nie przekraczają 10% zapasów 1914 r. Wystarczyły by one na finansowanie importu przez — 6 miesięcy wojny. Wątpić należy, by ktokolwiek z neutralnych, po doświadczeniach ostatnich lat udzielał Niemcom kredytu w czasie wojny. Innymi słowy: Niemcy nie mogą liczyć na dopływ surowców i środków żywności z zagranicy. Mogą liczyć tylko na swą własną produkcję. A jak te rzeczy wyglądają?

Niemcy mają około połowy żywności potrzebnej do prowadzenia wojny.

Podług obliczeń berlińskiego Instytutu Badań Ekonomicznych, Niemcy w r. 1934 produkowały około 80% swego obecnego spożycia środków żywności. Porównanie danych wytwórczości rolniczej za ostatnie lata nie wskazuje, by zaszły tu jakieś zasadnicze zmiany. Kanclerz Hitler w swej mowie z 20 lutego b. r. stwierdził, że Niemcy produkują 81% swego zapotrzebowania środków żywności. Można więc tę liczbę przyjąć jako ostateczną. Ale 80% obecnego zapotrzebowania, to bynajmniej nie 80% zapotrzebowania wojennego. Żołnierz w polu, jeśli ma podołać trudom wojennym musi jeść więcej. To samo tyczy się pracujących na tyłach. Fachowcy oceniają, że kraj może się sam zaopatrzyć w czasie wojny, jeśli produkuje 40% więcej niż wynosi jego pokojowe zapotrzebowanie żywności. W dodatku poziom wyżywienia Niemiec już dzisiaj jest poniżej normalnego. W sumie można liczyć, że Niemcy będą w stanie wyprodukować maksymalnie 60% żywności potrzebnej do normalnego wyżywienia kraju w czasie wojny.

Skąd Niemcy wezmą ropę naftową?

Nie lepiej jest z surowcami. Co prawda sytuacja hutnictwa Rzeszy, po przyłączeniu bogatych austriackich złoży rudy żelaznej, poprawiła się nieco. Ale pozostaje problem ropy naftowej, niezbędnego produktu w wojnie zmotoryzowanej. Bez opału, bez benzyny, bez olejów smarowych najlepsze tanki, samoloty, pancerniki stają się kupą starego, bezużytecznego żelastwa. Eksperci niemieccy obliczają zapotrzebowanie ropy przez Niemcy w czasie wojny na 15 — 20 milionów ton. Tymczasem niemiecka produkcja własna nie przekracza 1 miliona ton.

Ktoś powie — pozostaje płynne paliwo uzyskane z węgla. Trzeba 4,5 ton węgla, by uzyskać 1 tonę produktów naftowych. Aby pokryć zapotrzebowanie Rzeszy na ropę, należałoby więc produkcję węgla Rzeszy podnieść o około 50%. Jest to oczywiście niewykonalne. Innymi słowy: „Brak produktów naftowych może okazać się „pię'ą Achillesa mocarstwa niemieckiego".

Niemcom brak wyszkolonych kadr.

Ale największą niespodzianką jest stwierdzenie, że Niemcom brak wyszkolonych żołnierzy. Generał-porucznik von Metzsch pisze na marginesie wojny hiszpańskiej: „Wysoki poziom techniczny zbrojeń nic nie pomaga jeśli broń znajduje się w rękach ludzi niewyszkolonych, zmobilizowanych na zasadzie milicyjnej. Do dostatecznego wyszkolenia trzeba conajmniej dwóch lat". Otóż dwuletnia służba wojskowa istnieje w Niemczech zaledwie od niedawna. Żadne ćwiczenia S. A. — obejmujące zresztą również tylko pewną część ludności, nie zmienią faktu, że roczniki 1901 — 1914 nie przeszły regularnego, pełnego wyszkolenia wojskowego.

Na Wschodzie Niemcy mają dziś groźnego wroga.

Wreszcie czynnikiem niezwykle groźnym dla Niemiec jest fakt rozbudowy potencjału obronnego Sowietów. W r. 1914 na wschód od Niemiec była zacofana technicznie Rosja carska. W 1914 r. Rosja wytwarzała jedną szóstą produkcji węgla Niemiec, dziś Sowiety produkują cztery piąte. W 1914 r. produkcja stali i żelaza Rosji stanowiła nieco więcej niż jedną czwartą produkcji niemieckiej, dziś produkcja Sowietów pozostaje tylko nieznacznie w tyle za niemiecką. To samo tyczy się przemysłu zbrojeniowego. Sowiety dziś produkują około 8 tys. samolotów rocznie i to w fabrykach, położonych poza zasięgiem wszelkich raidów lotniczych, czego, notabene, nie można powiedzieć o fabrykach niemieckich. To znaczy: obecnie Niemcy nie będą w stanie, jak w 1914 r., pozostawiać na froncie wschodnim tylko stary, wysłużony „Landsturm" a całą siłę rzucić na zachód, dziś zresztą również zabezpieczony potężną linią Maginota, zupełnie inaczej niż w r. 1914. A to znów znaczy: niema mowy o „błyskawicznym zwycięstwie" niemieckim, trzeba się liczyć z długotrwałą okopową wojną, wojną w której właśnie decyduje potencjał ekonomiczny.

„Morale" armii zadecyduje.

To też myśli fachowych teoretyków niemieckich krążą wciąż dokoła groźnego zagadnienia: czy ludność niemiecka wytrzyma obciążenie moralne lepiej niż w 1914 r. Niemcy musiałyby zacząć wojnę, mając już teraz kartki na chleb i tłuszcze, tysiące i dziesiątki tysięcy w obozach koncentracyjnych, opozycję katolicką, austriacką, socjalistyczną, protestancką w podziemiach. Demokracje Zachodu, jeśli staną w obliczu wojny, stworzą rzeczywistą jedność narodową, pozostawiającą poza sobą tylko drobne grupki niepoprawnych sekciarzy na najskrajniejszej lewicy i drobniejsze jeszcze grupki zaprzedanych faszinternowi elementów na najskrajniejszej prawicy. Która metoda okaże się lepszą w okresie wielkiej próby dziejowej? Karl Pintschovius, oficer wielkiej wojny, zbliżony do kół Reichswehry wydał przed rokiem książkę, przepuszczoną przez oficjalną cenzurę i przychylnie przyjętą przez Militär-Wochenblatt, organ sztabu generalnego. Pisze on w tej książce:

„Dzisiaj politycy muszą liczyć się z tym, że psychologia oddziałów wojskowych stawia ich zamiarom bardzo wąskie granice. Wobec okropności nowoczesnej wojny, nie można żądać od żołnierza ofiar bez końca. Można tego żądać z początku, ale to nie da się utrzymać długo. Zanik wytrwałości będzie coraz szybszy. Nastrój ludności i ciężary, którymi można te ludność obciążyć, są to dwa czynniki, w prowadzeniu wojny, mające dziś znaczenie większe niż kiedykolwiek. Duch bojowy ludności stał się najwrażliwszym miejscem na naszym froncie, a to może się okazać raczej przekleństwem, niż naszym ocaleniem".

Jak widzimy, sztabowcy niemieccy nie są bynajmniej tak optymistyczni. Niewątpliwie „spacer" austriacki nie podziałał bynajmniej destruktywnie na morale armii niemieckiej. Ale co będzie, kiedy zamiast spacerów zacznie się ciężka, regularna praca wojenne?

Pokój jest nietylko poniechaniem wojny. Jest cnotą, która wyrasta z siły duszy.

SPINOZA.

Polityka dyktatora: schlebiać masom i — nie liczyć się z człowiekiem.

Z genealogii demokracji polskiej

Wiosna ludów

I.

Rok 1848 był w podwójnym znaczeniu „wiosną ludów". Po pierwsze przez to, że przyniósł powszechną wojnę narodów o wolność polityczną, dławioną przez Święte Przymierze mocarstw reakcyjnych. Walka Polaków i Węgrów o niepodległość, walka Niemców i Włochów o zjednoczenie, walka Francuzów o demokratyczną republikę z powszechnym i równym prawem wyborczym — to przejawy powszechnego ruchu wolnościowego, który rozpoczął się już podczas Wielkiej Rewolucji francuskiej, ale zahamowany został przez zwycięstwo reakcji w samej Francji (Termidor, Napoleon i Restauracja) i w całej Europie (Waterloo i Kongres Wiedeński). Treścią tego ruchu był uwarunkowany rozwojem kapitalizmu proces tworzenia się nowoczesnych narodów, niepodległych pod względem państwowym i zdemokratyzowanych ustrojowo przez zniesienie feodalnych przywilejów stanowych.

Z drugiej strony stał się rok 1848 pierwszą wielką wiosną rzesz pracujących, które w ogólnych ramach walki o wolność i demokrację wystąpiły już z własnymi postulatami i ideałami. Po raz pierwszy rozwinął się nad Paryżem sztandar „republiki socjalnej", po raz pierwszy robotnicy miejscy wystąpili jako samodzielna, odrębna od innych klas, siła społeczna. I jeżeli w rozwiniętych kapitalistycznie i poważnie już zdemokratyzowanych społeczeństwach zachodnich tendencje „socjalne" wyrażały dążenia robotnicze i — częściowo — drobnomieszczańskie, to w Europie Środkowej i Wschodniej, kwestia społeczna wystąpiła przede wszystkim jako zagadnienie uwłaszczenia chłopów. Tu demokracja nie mogła zwyciężyć bez radykalnego przewrotu agrarnego. A bez zwycięstwa demokracji niemożliwe było wywalczenie niepodległości przez narody ujarzmione. Już powstanie polskie 1930/31 roku wykazało to niezbicie. Nauki tego powstania miały doniosły wpływ na późniejsze poglądy demokracji polskiej, której różne odłamy były zgodne co do tego, że przyszłe powstanie narodowe musi przynieść uwłaszczenie ludowi wiejskiemu.

Pod tym względem rewolucja krakowska 1846 roku była naprawdę wstępem do wielkiej wiosny ludów i tak została zrozumiana przez całą demokrację europejską. Manifest krakowski z 22 lutego 1846 r. głosił przecież: „Wywalczymy sobie skład społeczeństwa, w którym każdy podług zasług i zdolności z dóbr ziemskich będzie mógł użytkować , a przywilej żaden i pod żadnym kształtem mieć nie będzie miejsca; w którym każdy Polak znajdzie zabezpieczenie dla siebie, dla żony i dzieci swoich; w którym upośledzony od przyrodzenia na ciele i duszy znajdzie bez upokorzenia niechybną pomoc całego społeczeństwa; w którym ziemia, dzisiaj przez włościan warunkowo tylko posiadana, stanie się bezwarunkową ich własnością, ustaną czynsze, pańszczyzny i wszelkie tym podobne należytości *bez żadnego wynagrodzenia*"...

I demokracja polska uznała ten program jako obowiązujący odtąd program walki o niepodległość. Przyjęta na obchodzie rocznicy listopadowej w Londynie 1846 r., popierana przez Worcella, rezolucja stwierdzała: „Zniesieniem przywilejów, różnic pomiędzy klasami narodu, wymiarem sprawiedliwości wszystkim zarówno mieszkańcom i uwłaszczeniem włościan powstanie krakowskie położyło podstawę przyszłego życia Polski, dopełniło warunku bytu narodowego, uzupełniło myśl Rewolucji listopadowej, było postępem".

Powstanie krakowskie dokładnie o dwa lata wyprzedziło rewolucję w Paryżu — wstęp do powszechnego powstania ludów europejskich. I jeżeli w miniaturze stało się ono wzorem dla rewolucji 48 roku, to takim samym wzorem dla reakcji ówczesnej stało się postępowanie Świętego Przymierza wobec Rzeczypospolitej Krakowskiej. Powstanie krakowskie zostało zduszone przez zbrojną interwencję Metternicha, w obronie ładu i porządku, przeciw wywrotowym knowaniom! Rzeczpospolita Krakowska utraciła przy tym z pogwałceniem traktatu wiedeńskiego z r. 1815 niepodległość, gwarantowaną nie tylko przez mocarstwa zaborcze, ale i przez Anglię i Francję. Ale państwa zachodnie, rządzone przez magnaterię finansową, nie sprzeciwiły się temu jaskrawemu naruszeniu międzynarodowego porządku prawnego przez „żandarmów" Europy, Mikołaja I i Metternicha!

Równie jaskrawy przykład bezprawnej interwencji z pogwałceniem prawa międzynarodowego i suwerenności państwowej Szwajcarii dał rok 1847. W tym roku walka między demokracją i konserwatystami szwajcarskimi przeszła w otwartą wojnę domową. Reakcja, widząc, że na legalnej, konstytucyjnej drodze przegrywa walkę przeciw demokratyzacji kraju, utworzyła konfederację zbrojną, t. zw. Sonderbund, rozpoczęła otwarte powstanie (listopad 47 roku) i wezwała pomocy sąsiadujących z Szwajcarią mocarstw reakcyjnych. W oczach całej Europy Austria, Prusy i Francja Ludwika Filipa wspierały konserwatystów szwajcarskich w ich rebelii przeciw własnej ojczyźnie i własnemu ludowi.

W ten sposób ostatnie lata, poprzedzające wiosnę ludów, wskazały poniekąd drogę, którą w roku 48-m poszła zarówno demokracja, jak i reakcja. Rok ten urzeczywistnił po raz pierwszy w szerokim zakresie *uspołecznienie demokracji i umiędzynarodowienie reakcji.* Jeżeli najwyższym przejawem pierwszego procesu były dni czerwcowe w Paryżu, to drugi osiągnął swój punkt kulminacyjny w interwencji Mikołaja I na Węgrzech (1849). Czerwiec paryski wykazał, że awangardą demokracji stała się już nowa siła historyczna, robotnicy przemysłowi, i że warstwy posiadające będą odtąd hamowały wszelki postęp dziejowy, wykraczający poza ich ciasne, egoistyczne interesy, choćby nawet kolidowały one z interesem olbrzymiej większości narodu. Bagnety Mikołaja na Węgrzech nauczyły demokrację, że mię-

dzynarodówce tronów i przywilejów musi przeciwstawić się braterstwo wszystkich ludów w walce ze wspólnym wrogiem, despotią i wstecznictwem. To, co przed rokiem 48 i podczas samej rewolucji *rozumiano* raczej, niż *realizowano* — stało się teraz praktycznym programem demokracji: tylko demokracja społeczna zabezpiecza trwałe zwycięstwo demokracji politycznej i tylko braterski sojusz całej demokracji europejskiej potrafi przełamać międzynarodowo zorganizowaną potęgę wstecznictwa, komenderowanego przez „zbawcę" cywilizacji, Mikołaja Romanowa.

Obie te prawdy demokracja polska rozumiała doskonale i na nich opierała swą niepodległościową politykę. Demokraci polscy przelewali krew wszędzie, gdzie wrzała walka o wolność. W Berlinie, Wiedniu i w Badenii, we Włoszech, na Węgrzech i w Paryżu — Polska walcząca zdobyła sobie trwałe, zaszczytne miejsce w międzynarodowych szeregach wolności i postępu. I nie tylko demokraci, nawet ludzie bardzo dalecy od poglądów demokratycznych, nawet konserwatyści rozumieli w tej przełomowej chwili łączność sprawy polskiej ze sprawą demokracji europejskiej. Przykład: udział Bema i Dembińskiego w walce o wolność Węgier, udział Bema w obronie Wiednia.

Z drugiej strony ludy europejskie walcząc o własną wolność, świadomie walczyły też o niepodległość Polski. Okrzyk „Vive la Pologne" był bojowym zawołaniem ludu paryskiego w jego walce nie tylko o demokrację polityczną, ale i o „republikę socjalną". W Berlinie jednym z pierwszych czynów zwycięskiego ludu jest uwolnienie Polaków z Mierosławskim na czele, uwięzionych tam po nieudałym powstaniu poznańskim 1846 roku. Jak w paryskich demonstracjach robotniczych, tak i w Berlinie nad zbrojnymi zastępami ludu powiewa biało-czerwona chorągiew Polski, gdy tłum berlińczyków na ramionach wynosi z Moabitu Mierosławskiego z towarzyszami. Centralizacja Towarzystwa Demokratycznego w odezwie z 3 kwietnia 1848 r., dziękując demokracji francuskiej za jej sympatie dla Polski, stwierdza: „Wypływało to z poczucia braterstwa międzynarodowego i to poczucie, łącząc nasze serca z wielką rodziną ludów, czyniąc nas uczestnikami w ich postępie, zespalając ich losy z naszymi, *kładzie podstawy przyszłego bytu Polski*". A zwracając się do rewolucyjnego Berlina, woła demokracja polska: „Bracia berlińczycy, wy stargaliście więzy wasze i więzy braci naszych, a odtąd i waszych. Dajecie w ten sposób pierwszą rękojmię *przymierza ludów*". Zwycięska demokracja europejska przyniesie wolność i Polsce — zapowiada odezwa: „Wkrótce ojczyzna nasza, wyzwolona, zapewniając triumf ostateczny wolności powszechnej nad despotyzmem, równości nad przywilejem, braterstwa ludów nad egoistycznym antagonizmem gabinetów, złoży wam najszlachetniejszy, najlepszy dowód swej wdzięczności za waszą gościnność braterską".

Jednocześnie T-wo Demokratyczne ogłasza wyzwolenie ludu jako społeczny program obozu niepodległościowego (odezwa z 20.XII. 1848 r.): „...w Polsce, w kraju rolniczym, zadania społeczne reasumują się dziś głównie do zmiany stosunków pomiędzy klasą wydziedziczoną dotąd a klasą posiadających — słowem, u nas głównym w tej chwili zadaniem społecznym jest usamowolnienie i uwłaszczenie ludu". Jak widać, nasz obóz niepodległościowy doskonale rozumiał różnicę między zadaniami, które rozwój dziejowy postawił przed demokracją polską a zachodnio-europejską. We Francji feodalizm dawno już ustąpił miejsca kapitalizmowi i lud walczył teraz o pełną demokrację polityczną jako warunek zwycięskiej walki o „republikę socjalną". W Polsce demokracja walczyła dopiero o zniesienie stosunków feodalnych, pańszczyźnianych i o niepodległą republikę demokratyczną — nieodzowny warunek nowoczesnego bytu narodowego.

Mówi się, że w roku 48 po raz pierwszy wystąpił na widownię dziejową socjalizm. Jest to oczywiście słuszne. Trzeba jednak przypomnieć, że termin ten krył wówczas bardzo różną treść, częściowo tylko odpowiadającą dzisiejszemu jego znaczeniu. Ówcześni demokraci rozumieli przez „socjalizm" wszelką w ogóle walkę o reformy i przeobrażenia społeczne — w odróżnieniu od liberalizmu, który oznaczał dążenie tylko do demokracji politycznej, formalnej. Różnica ta wytyczała linię demarkacyjną między kapitalistycznym a robotniczo - drobnomieszczańskim skrzydłem obozu republikańskiego.

I demokracja polska występuje już w tym czasie pod sztandarem socjalizmu. W literaturze politycznej Wielkiej Emigracji termin ten z jednej strony oznacza całkowitą solidarność Polaków z ludem francuskim w jego walce o „republikę socjalną" — solidarność podyktowaną zarówno szczerym i daleko już wtedy posuniętym radykalizmem społecznym demokratów polskich, jak i interesem narodowym. Bo okazało się, że tylko lud, tylko „socjaliści" konsekwentnie dążyli do międzynarodowej rozprawy z reakcją i do wskrzeszenia niepodległej Polski. Natomiast liberalizm francuski otwarcie zdradził sprawę wolności europejskiej, podobnie, jak — masakrując w dniach czerwcowych robotników paryskich — poderwał samo istnienie nawet czysto politycznej demokracji. Lamartine, patetyczny poeta i mizerny kunktator polityczny, wielbiciel i naśladowca Żyrondystów, stał się symbolem tej małości mieszczeńskiego liberalizmu, którego prawdziwe oblicze ukazał Cavaignac, poskromiciel przedmieść paryskich. Ci mężowie opatrznościowi francuskiego kołtuna zaprzepaścili demokrację i zdradzili Polskę — po czym zmieceni zostali ze sceny przez nowego męża opatrznościowego warstw posiadających: Napoleona III. Nienawiść demokratów polskich do „żyrondy" i solidarność ich z ludem, z „socjalizmem", była więc w pełni uzasadniona.

Z drugiej strony, w odniesieniu do spraw polskich, termin „socjalizm", tak częsty w pismach naszej demokracji, oznaczał wtedy radykalne rozwiązanie kwestii rolnej przez zniesienie folwarku i oddanie całej ziemi ludowi pracującemu. Sądzono, że najlepiej da się to uskutecznić przez zniesienie własności prywatnej ziemskiej, czyli — mówiąc dzisiejszym językiem — unarodowienie ziemi. Program ten, wysunięty w r. 1835 przez lud Polski i zwalczany wtedy przez T-wo Demokratyczne, z biegiem czasu stał się i jego programem, zwłaszcza po roku 1848. Oczywiście większość demokratów ciągle jeszcze wierzyła, że ich program rolny da się zrealizować za zgodą szlachty w kraju. Okazało się tymczasem, że nawet o wiele bardziej umiarkowane uwłaszczenie chłopów, t. zn. nadanie im na własność tylko tych gruntów, które na prawach pańszczyźnianych lub czynszowych posiadali — przy zachowaniu folwarku — natrafiło na opór szlachty.

I zaborca stał się „dobrodziejem" chłopa polskiego, nadając mu ziemię, za którą trzeba było w ciągu całych lat słono płacić. W ten sposób warstwa szlachecka została uratowana przez wrogów narodu. Już po upadku rewolucji „Demokrata Polski" pisał o zachowaniu się naszej warstwy uprzywilejowanej wobec ludu: „W chwili gorączkowego strachu poczuła ona za sobą lud, poznała, iż bez jego pomocy istnieć nie może, w uwłaszczeniu *częściowym* chłopów zaczęła widzieć nie wymiar sprawiedliwości, lecz obrała go za wybieg strategiczny, aby wzmocnić się w walce przeciw socjalizmowi i zamachom rewolucyjnym". Panowie magnaci rozumowali: „rewolucja i socjalizm są naszymi wrogami, dzisiaj nie ma już ojczyzny, narodu, znikła tradycja ludów, godność osobista i narodowa są igraszką słów, jedna jest tylko czarna rzeczywistość, to jest szerzący się socjalizm, który zagraża naszym mieniom i osobom, starajmy się go więc zwalczać, trzymajmy się z rządami, gdyż te tylko mogą nam dać dostateczną gwarancję bezpieczeństwa naszych osób i majątków". Słowa te pisane były w roku 1851...

MICHAŁ JORDAN

Niebezpieczny marzyciel

Lord Halifax

Lord Halifax, któremu powierzono kierownictwo Foreign Office, ma wiele osobistych zalet, które mu zjednywają przychylność jego politycznych przyjaciół konserwatywnych. Jest on głęboko religijny; jest zamiłowany w życiu wiejskim; pochodzi z rodziny, która od trzech pokoleń głęboko tkwi w tradycji służby państwowej.

Piastował on wysokie godności publiczne. Baldwin mianował go prezydentem Urzędu dla Spraw Wychowania, a w roku 1926 wicekrólem Indii; godność tę sprawował nie bez powodzenia, osiągnął przynajmniej to, że imperializm brytyjski przejawiał się w formach mniej sztywnych i brzydkich, niż za lorda Readinga lub lorda Willingdona.

***

Lord Halifax należy do rodzaju ludzi, którego punkt widzenia wydaje mi się specyficznie angielski. Jego obejście jest dobrotliwe i pełne czaru. Jest zawsze gotów do kompromisu, gdy chodzi o szczegóły. Jest skończonym angielskim dżentelmenem.

Zwykle robi wrażenie, jakgdyby jego polityczna działalność odbywała się na marginesie osobistych zainteresowań. Gdyby nie silne poczucie obowiązku, zajmowałby się, podobnie jak Baldwin ogrodnictwem, lub jak Sir Edward Grey ptactwem; lord Halifax zapewnia nas, że chętniej byłby raczej pierwszym wśród hodowców psów myśliwskich, niż pierwszym wśród ministrów. Ale poczucie obowiązku jest nakazem zbyt silnym, aby móc mu się przeciwstawić. Jego polityczni przyjaciele uważają, że jest on niezastąpiony dla partii konserwatywnej i dlatego nie może odmówić wezwaniom do służenia jej.

Nie jest on człowiekiem jasno wytkniętych celów i konsekwentnych wypowiedzeń. W głębi swej duszy jest mistykiem, który zaledwie zdaje sobie sprawę z procesów, jakie zachodzą w jego umyśle. Czuje niechęć dla jasno zarysowanych zasad i do ścisłego myślenia. Natomiast lubi ów półmrok intuicji, w którym można wyrażać uczucia, dogadzając wszystkim.

Nie ma zaufania do idei, które wymagają zdecydowanego zastosowania praktycznego. Wolałby wcale nie wiedzieć dokładnie, dokąd ma iść. Lubi „nastrój", „zrozumienie" — owe nieuchwytności które w każdym kierunku pozostawiają luki. Od 1936 roku był bodaj najbardziej wpływową osobistością za kulisami „rządu narodowego" — jeszcze więcej za Chamberlaina, niż za Baldwina. Za Chamberlaina był on tym członkiem gabinetu, który najbardziej zdecydowanie uosabiał politykę porozumienia z dyktatorami. Jest on narzędziem owej arystokracji wiejskiej, która żyje w przeświadczeniu, że przede wszystkim trzeba uniknąć wojny, za wszelką cenę i pod każdym względem. Że jakoś dojść może do skutku jakiś targ, który Anglię uchroni przed wojną — oto przeświadczenie, w które głęboko wierzy. Dlatego żadna ofiara nie jest za wielka. Austria, Hiszpania, Czechosłowacja, Chiny, Sowiety nic nie znaczą w porównaniu z koniecznością zachowania pokoju.

Jego zdaniem należy mądrze postępować z Hitlerem i Mussolinim, a wówczas dadzą się oni przekonać o konieczności takiego urządzenia swych państw, żeby to nie dotykało interesów angielskich. Można ich nauczyć, by postępowali jak dżentelmeni. Wojna — oto przeświadczenie lorda Halifaxa — oznacza rewolucję, a rewolucja oznacza socjalizm. Jest daleko lepiej zastosować się do żądań dyktatorów, niż narazić się na taką ewentualność.

Naturalnie, że lord Halifax nie przyznałby się do tych założeń. Ani przez chwilę nie przyjdzie mu na myśl, że Hitler i Mussolini uważają świat za karczoch, którego liście jeden po drugim dadzą się zjeść. Nie zechce on uznać, że dla Hitlera i Mussoliniego nie istnieją uroczyste zobowiązania; nie uświadamia sobie, że właśnie Anglia jest wrogiem nr. 1, którego zniszczenie jest konieczne, jeżeli chce się mieć faszystowską Europę pod swoim butem.

***

Podobnie jak Sir Edward Grey, lord Halifax umie zamykać oczy na przykrości. Potrafi przysłużyć się Lidze Narodów ładną mówką i wygłosić kazanie o zbiorowym bezpieczeństwie. Ale w realnym świecie, w którym żyjemy, ma to conajwyżej wartość materiału na mowę w Izbie Lordów. Lord Halifax wierzy, że nas wykupi od powszechnego potopu; późniejsze pokolenia niech same o siebie się troszczą. Prawdą jest, że w rzeczywistości nie ma on wyobrażenia o siłach, które wstrząsają obecnie światem i którymi ma on teraz kierować. Nie odmieni on ani Hitlera, ani Mussoliniego swoimi szlachetnymi zaklęciami. Tylko tak długo będą nim grać, jak długo to służy ich celom. Lord

Halifax będzie ich usłużnym narzędziem, wierząc, że im piękniejsze ich słowa, tym bardziej szczere ich zamysły. Ale ponieważ nie rozumie on istotnych warunków, od których pokój zależy, przeto nie znajdzie drogi poprzez splątane siły, którymi usiłuje kierować.

***

Lord Halifax jest wielkim niebezpieczeństwem dla pokoju europejskiego, gdyż nie ma pojęcia, jaka jest zależność pokoju od demokratycznych instytucji. Wszystko co robi, będzie robione szlachetnie; wszystkie jego słowa będą słowami pokoju. Ale podda on jedną po drugiej twierdze demokracji, i chociaż jest dżentelmenem, wszystkie je zdradzi. I swej prostej wierze, że walczy o demokrację, zaprowadzi nas do obozu faszyzmu.

Ostatecznie my wszyscy zapłacimy straszliwą cenę za jego szlachetny charakter i moralne piękno jego wewnętrznego życia. Założenia, na których opiera swoją działalność polityczną, zawierają gorzkie złudzenie, że można zjednać dyktatorów dla celów, których zniszczenie jest wszak ich wyłącznym celem.

PROF. HAROLD LASKI

(„Das Neue Tagebuch" Nr 10)

KSIĄŻKI NADESŁANE

Tadeusz Zieliński: Świat antyczny. Cesarstwo Rzymskie z 22 ilustracjami. Warszawa — Kraków 1938. Wydawnictwo J. Mortkowicza. Towarzystwo Wydawnicze w Warszawie.

Wacław Grubiński: Listy pogańskie. Warszawa 1938. Nakładem Księgarni F. Hoesicka.

Lili Körber: Tak nienawidzą Chiny! Japonia w Chinach. str. 20. Lwów 1938.

Nakładem Biblioteki „Ruń" Warszawa 1938 ukazały się książeczki:

Bolesław Piach: Dzwonnik roczdalski.

Maria Gadomska: Wyprawa na „Komecie".

Józef Kempa: Chłopcy z K. S. „Orion".

Bolesław Piach: Klub Młodych.

Halina Sanówna: Pierwsza nagroda.

Bolesław Piach: Zwycięzca.

J. B. Rychliński: Żagle na oceanie.

Bolesław Piach: Zielony zeszyt.

Dr. Stefan Truchim: Święty Augustyn a nauki i szkolnictwo starożytne. Warszawa 1938. Skł. Główny: „Nasza Księgarnia" Zw. Naucz. Polskiego.

Biblioteczka: Problemy Dalekiego Wschodu: Konflikt Japońsko - Chiński. Warszawa 1938. str. 16.

Jakub Bleiberg: Wizerunek własny Kartezjusza. W 300-lecie „Rozprawy o metodzie". Warszawa 1938. Skł. Główny w „Naszej Księgarni".

Benedykt Elmer: Ku czemu idzie Polska? Złudzenia polityki zagranicznej, str. 37. Warszawa 1938. Nakładem Księgarni Robotniczej.

Bruno Frank: Paszport Księcia. Powieść. Autoryzowany przekład Romana Granicy. Wydaw. „Wierch".

W najbliższej przyszłości projektowane jest wydanie przekładu *Guerin* — Faszyzm a kapitał oraz prac: *Jana Nepomucena Millera, Stanisława Baczyńskiego, prof. Rudniańskiego, dra Próchnika* i inn. w zakresie programu naukowo-popularnego wydawnictwa.

Nowa Biblioteka komunikuje jednocześnie o zmianie swego adresu i prosi o kierowanie korespondencji pod adresem Ujazdowska 47, m. 4. Nr. konta P.K.O. — 5422. Telefoniczne porozumienie z wydawnictwem: telefon 2-99-64 w godzinach między 9 a 11 lub między 15 a 17, prócz świąt.

ZAWIADOMIENIE

Wydawnictwo „Nowa Biblioteka Społeczna" podaje do wiadomości swoich abonentów, że warunki prenumeraty pozostają te same, to znaczy: 16 zł. rocznie, 8 — półrocznie, 4.50 kwartalnie plus porto. Wydawnictwo zastrzega sobie możność wydawania nie zeszytów miesięcznych jedynie, ale również książek o większej objętości w dłuższych odstępach czasu. Wszystkich abonentów prosi o wiadomości o ewentualnych zmianach adresów, gdyż kilka egzemplarzy ostatnio rozesłanej książki poczta zwróciła. Do wiadomości abonentów, wpływających w tym roku, wydawnictwo podaje, że dotychczas w programie dzieł naukowo - popularnych wyszły w zeszytach miesięcznych książki: *Haddona i Huxleya* — „My Europejczycy (w polskim przekładzie) oraz *Jerzego Boreiszy* — „Hiszpania"; oba dzieła są również i w wydaniu książkowym; nakładem Nowej Biblioteki Społecznej wyszła obecnie powieść społeczna *Haliny Krahelskiej* na tle stosunków śląskich p. t. „Zdrada Heńka Kubisza"; ta ostatnia, w wydaniu książkowym (objętość trzech zeszytów miesięcznych) została rozesłana wszystkim abonentom.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630

REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się

PRENUMERATA kwartalnie — zł 4.—. Numer pojedyńczy 50 gr.

OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm) zł 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm) gr 40.

REDAKTOR i WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 4734 Odbito w Zakł. W. Piekarniaka. Warszawa, Ordynacka 3.